ODBIJANEGO.

KOMEDYA

W PIĘCIU AKTACH

NAPISAŁ

Wincenty Rapacki.

(Rzecz dzieje się w pierwszej połowie XVIII wieku).

WARSZAWA.

GEBETHNER i WOLFF.

1888.

ODBIJANEGO.

KOMEDYA

W PIĘCIU AKTACH

NAPISAŁ

Wincenty Rapacki.

(Rzecz dzieje się w pierwszej połowie XVIII wieku).

WARSZAWA.
GEBETHNER i WOLFF.
1888.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 10 Марта 1888 г.

Druk T. Nasiorowskiego, Czysta Nr 8.

Wojewoda Gozdski.
Jego żona.
Józef syn, rotmistrz chorągwi.
Karolina, córka.
Starosta Kaniowski.
Starościna, jego żona.
Dąbrowski, ojciec starościny.
Kasztelanic Wojnicki.
Podkomorzyna Żydaczewska.
Pan Marcin, } szlachta.
Pan Paweł, }
Malcher, oberżysta.
Ewa, jego żona.
Krzysia, pokojowa starościny.
Ławnik
Koniuszy Złotareńko, }
Maxym. } kozacy Starosty.
Soroka, }
Ekonom.
Żyd.
Marszałek wojewody.
Komendant.
Szlachta —Kozacy.—Służba wojewody.

Rzecz dzieje się w XVIII wieku.

AKT I.

Oberża pod Kogutkiem w Glinianach. W głębi z boku szynkwas, za nim rzędy butelek. Z drugiego boku główne wejście. Drzwi po obu stronach do pokoi gościnnych. Z prawej okno. Stoły i stołki. Wieczór. Deszcz ulewny i grzmoty.

SCENA I.

Pan Paweł, Pan Marcin *przy stoliku, z drugiej strony* **Malcher, Ławnik,** *przy szynkwasie* **Ewa.**

Paweł. Służba to nie drużba, panie Marcinie. Wolałem ja suchy kawałek chleba z mojej Wólki, niżeli dworowanie.

Marcin. Daj go katu, Wólka waścina! Jak pies na twoim gruncie, siądzie, to już za granicą ogon trzyma.

Paweł. Choćby ją tylko czapką przykryć, to co swoje, to swoje... Bah! prawda, już nie swoje.

Marcin. Cóż, darowałeś?

Paweł. Sprzedałem, a w zamian wykupiłem wszystkie dekreta na starostę Kaniowskiego... i teraz żałuję tego.

Marcin. Życzę szczęścia... ale i mnie przyjdzie toż samo na stare lata uczynić. I nie głupią jakąś Wólkę ale Wolę prawdziwą... byle dobremu panu służyć.

Paweł. A co byś aszeć na to powiedział, gdybym ci tak dobrą służbę wynalazł?

Marcin. Co? a toćbym cię udusił z radości, panie Pawle.

Paweł. Daj no pokój. Kwituję z takiego profitu. Ale czekaj! Napijmy no się jeszcze lipca. Pani Malchrowa!

Malchrowa (*z za szynkwasu zbliża się do stołu strojąc słodkie oczy do Marcina, który ją w pół obejmuje i szepcze do ucha*).

Malcher (*do Ławnika*). Tak, tak, panie Łukaszu, wszystko się teraz psuje na bożym świecie. Gdzie to te czasy, kiedy moja nieboszczka jeszcze żyła. Za beczkę miodu płaciłem cztery złote panu sędziemu i jaki to był miód... a teraz wal im dwanaście i miara licha. I jak tu wyjść na swoje? (*coraz to głośniejsza rozmowa przy drugim stole i śmiechy*). Jewka! za szynkwas! (*Ewa odbiega szybko*).

Marcin. Fertyczna kobietka, jak Pana Boga kocham. Człowiek jak wosk topnieje przy niej.

Paweł. Aszeć widzę za fartuszkiem strasznie byś gonił.

Marcin. Jak nie gonić, panie Pawle, gdy się taki buziak nawinie? A ten stary Cerber zazdrośny jak dyabeł. Toż aż ślinka idzie, żeby mu rogi przypiąć.

Paweł. Nie pierwszyś, nie ostatni. Jejmość Malchrowa wszystkich tu tak za nos wodzi. Ten stary niby się zżyma na nią, ale w duszy kontent, że mu gości do gospody przynęca.

Marcin. To to taki ptaszek? Ale mówno kochany panie Pawle, coś rozpoczął o owej dobrej służbie.

Paweł. Ano gdybyś się tak mógł dostać do pana rotmistrza Gozdskiego, byłoby ci jak w raju.

Marcin. Dajże pokój, toż to ma być awanturnik dyabli, drugi Starosta Kaniowski.

Paweł. Pluń aść! Pan jakich ze świecą szukać! Lubi hulać i figle płatać durniom, ale dla służby niema lepszego pod słońcem.

Marcin. Co bo mówicie? Patrz-no panie Pawle na oczy tej małej dyablicy, toć to ogień istny.

Paweł. Toś ty w niej widzę na dobre rozmiłowany.

Marcin. Już to u mnie natura taka, a co mnie te kobiecięta kłopotu już kosztowały. (*mruga na nią, po chwili Ewa się doń zbliża*).

Ławnik. Głupstwoś zrobił, panie Malcher. Na stary łeb brać taką frygę.

Malcher. Jać to teraz widzę. Ale jak mnie zaczęli namawiać. A ożeń się! Ładny buziak, to przynęta dla gości. Przynętą ona jest co prawda, ale cóż, ani ja dnia ani nocy spokojnej nie mam.

Ławnik. Pilnuj!

Malcher. Toć patrzę i pilnuję! (*głośna rozmowa przy drugim stole, Marcin ją całuje*).

Malcher. Oh! widzisz! Jewka za szynkwas! (*do Marcina*) Prosiłbym też aspana dobrodzieja, nie despektować mi niewiasty

Marcin. E! toć się jej nic nie stało.

Paweł. Mając takie poważne myśli, za podwiką szaleć. Dachu nie masz nad głową.

Marcin. Co chcesz, to moja zguba. Ale ja na to już nie poradzę. Gadaj no panie Pawle!

Paweł. Trzeba aści wiedzieć, że Gozdski, to pan pod szczęśliwą urodzony gwiazdą. Multo omnium fortunatissimus. Najbogatszy on z całego Podola, a w przyszłości jeszcze czekają go trzy pańskie fortuny po ciotce i po stryju W jakich on już okazyach nie bywał, a zawsze wyszedł z honorem i modestyą. Ojciec jego podżegany przez niegodziwą macochę, która się w chłopaku rozmiłowała na zabój, a którą on jako dobry syn reflektował, już go parę razy chciał wydziedziczyć, bo stary kocha żonę zapamiętale i robi co ona chce... a taki zawsze syn postawi na swojem i macocha musi grać jak jej każe.

Marcin. No, no, to gracz nie lada, kiedy nawet z babami umie radzić. Tylko powiadają, że heretyk, do kościoła nie chodzi, świętości nie uszanuje...

Paweł. Kłamstwo! Działoż by mu się tak ładnie i składnie na świecie, żeby w Boga nie wierzył? Religiant powiadam aści całą gębą. Ot do niego ci się dostać, pa-

nie Marcinie. Jedna rzecz tylko mi się w nim nie podoba.

Marcin. No, no, gadaj!

Paweł. Powiadają, że ma inkluza... Nigdy go się żadna kula nie chwyci... Że może rozdzielać swoją osobę, na ile części zechce. Że jednocześnie jest we Lwowie, Krakowie lub Glinianach i kiedy mówimy o nim... on może... (*wchodzi Gozdski, za nim dwóch pajuków*).

SCENA II.

Ciż i Gozdski.

Gozdski. Pochwalony!

Wszyscy. Na wieki!

Gozdski. Gdzie gospodarz?

Malcher. Do usług JW-go pana.

Gozdski. Stancye dla mnie i dla ludzi. Stajnie dla koni. Wypoczniem aż deszcz ustanie.

Paweł. Ulewa bo ulewa. (*spostrzegłszy nagle twarz Gozdskiego*). A słowo stało się ciałem. To on!

Marcin. Kto?

Paweł. Gozdski!

Gozdski (*do Pawła*). Co to, aszeć rogi na mnie zobaczył?

Paweł. Chowaj Boże, Jaśnie W-ny panie. Oblicze pańskie rozradowało nas tylko, bo właśnie miałem to szczęście panu bratu mówić o cnotach J. W-go pana, o jego pańskim animuszu, gdy fortuna łaskawa na mnie, własną presoną pańską niespodzianie udarować nas raczyła.

Gozdski. Fiu! palestrancki język. A jakież to cnoty waść we mnie odkrył?

Paweł. Nie spisać by ich na stu wołowych skórach J. W. panie, tysiące tysięcy gęb je powtarza. A ja niegodny sługa, który miałem ten zaszczyt, nie tylko słyszeć, ale i patrzeć na nie...

Gozdski. A cóżeś aść widział?

Paweł. Widziałem jednego bez nosa, drugiego bez ucha. Widziałem pana Zielonkę, jak drżał we febrze. Widziałem Łosia zucha, kiedy padł do stóp pańskich prosząc przebaczenia. Widziałem nieszczęśliwe wdowy i sieroty, jak ze łzami błogosławiły imię pańskie...

Gozdski. Chwalić w oczy lada kiep potrafi, nie ubliżając asindziejowi. Wolę ja o przywarach moich słyszeć, abym się łacno z nich poprawił. Cóż, towarzysz aszmości niemy, że tylko gębę rozdziawił?

Marcin. Nie J. W. panie. Nie tak zaprawdę słodko i składnie jak pan Piskorski mój towarzysz, ale i ja mam swadę, a gdy J. W. pan nie gniewasz się za prawdę, toć powtórzę wszystko złe, co mi się o uszy obiło.

Gozdski. Ano ciekawym!

Paweł (*cicho*). Daj aść pokój.

Marcin. Dla czego? Kiedy łaskawość pańska mnie ośmiela.

Gozdski. Proszę asindzieja, sprawisz mi tem prawdziwą satysfakcyę i dobry uczynek spełnisz.

Marcin (*do Pawła*). A widzisz! (*do Gozdskiego*). Słyszałem, żeś J. W. pan złym synem. Że ojcu strapienia przynosisz, który cię kocha okrutnie i radby, aby na tobie stary dom Gozdskich świetną okrył się sławą. Żeś połowę fortuny strwonił na marne zbytki.

Paweł. Czyś aszeć oszalał? A to ładnie dworską karyerę rozpoczynasz?

Gozdski. Mów dalej, panie bracie. Widzisz, że cię słucham choć mi tak kwaśno, jakbym leśne jabłka kąsał. Ale to każda prawda taka. Dajcie nam miodu, aby popłukać te przysmaki. Gadaj bracie.

Marcin. Że jak drugi Starosta Kaniowski, awantury wietrzysz i byle się okazya podała.

Gozdski. Co to, to nieprawda. Nienawidzę pana Starosty i naprawiam krzywdy jego jak mogę. Cóż dalej?

Marcin. Już nic J. W. panie; ale teraz widzę, że ludzkie oczy nie wszystko dobrze widzą, a języki plotą, bo oto persona pańska kłam mu zadaje. Kto prawdy rad słucha, ten nie całkiem zły być musi.

(*Ewa przynosi miód*).

Gozdski. A nie powiedziano ci, że kobiecięta za wiele kocham (*głaszcze pod brodę Ewę*).

Marcin. To nie wadą ani grzechem J. W. panie, byle ładna jak ta.

Gozdski. Oh, oczki jak u gazeli, a usteczka do całusów (*bierze ją wpół*).

Malcher. Jewka za szynkwas!

Gozdski. Nie wydzieraj się tak lubciu!

Marcin. Bodajeś dyabła zjadł z twym szynkwasem.

(*Ewa odbiega*).

Gozdski. Stary ją trapi. Warta pocieszenia.

Marcin. Jam tu już o tem myślał, J. W. panie.

Gozdski. Z kimże mam honor?

Marcin. Marcin Odrzywolski herbu Prus 2-gi, rejentowicz rawski.

Gozdski. Miło mi. A aść panie palestrancie... Bo żeś palestrę wąchał, to znać.

Paweł. Paweł Piskorski, były komornik słupski, do usług J. W. pana. Dziś dziedzic Wólki białobłockiej, ba, już nie dziedzic, bom ją sprzedał, czego solennie żałuję. Chudzina, do usług J. W. pana. Praktykuję jeszcze czasem patrocynium i gdyby takiego klienta jak osoba J. W. pana rotmistrza...

Gozdski. Dotychczas szablą wygrywałem procesa, i daj Boże abym innego pióra nie potrzebował. Zdrowie asindzieja.

Paweł. Ścielę się do stópek pańskich. Miły Boże, czym kiedy marzył o zaszczycie jaki mnie dziś spotyka? Nienapróżno J. W-go wojewodzica mianują królem podolskiej szlachty. Chudziną nie pogardzi, a tych co górą łby noszą, strychulcem wali.

Gozdski. Nie patrzę w kieszeń ludziom, a w szlachcicu cenię brata.

Paweł. Przezacne zdrowie pańskie, w ręce pana rejentowicza.

Gozdski. A aść co prawdę gadać umiesz, czy żałujesz, żeś mi ją wypowiedział?

Marcin. Nie żałuję, J. W. panie, tylko mi markotno, żem tak dobrego pana uraził. Boże uchowaj.

Gozdski. Nie uraziłeś mnie asze, bom się już z tych błędów poprawił. Ojca dawno przeprosiłem i krewkość moją trzymam na wodzy. Chyba jakiś nicpoń w drogę wlezie, trudnoż się upamiętać; szabla sama się prosi.

Marcin. Setnych lat i szczęścia bez miary J. W. panu. Wiwat! (*pajuk wchodzi*).

Malcher. Stancye dla J. W. pana w porządku.

Gozdski (*wstając*). Trzeba się przebrać i wypocząć. Miło mi było poznać tak zacnych personatów. A proszę domu mego nie omijać, jeżeli okazya po temu się zdarzy.

Paweł. Pokorne służby nasze!

Marcin. Do stóp pańskich padamy! (*Gozdski odchodzi, za nim i pajuk*).

SCENA III.

Paweł, Marcin, Malcher, Ewa, Ławnik.

Paweł. To mi panisko. Cóżem ci mówił panie bracie?

Marcin. Urody wielkiej kawaler i animuszu niepoślednego.

Paweł. I spadł nam jak z nieba. W czepkuś się rodził panie Marcinie, bo że cię przyjmie do swego dworu, to ani chybić. Choć głupstwo palnąłeś. Prawda! prawda inaczej się gada takim panom, a waszeć prosto z mostu.

Marcin. Wyplułem co miałem na języku, ale nie turbuj się aść, już jam jego, duszą i ciałem. Za serce mnie chwycił ten człowiek, tak że choćby za stajennego do niego pójdę.

Paweł. Taki on, taki. Pamiętam go wyrostkiem w konwikcie Ojców Jezuitów we Lwowie. Bywało jak wyleci na swoim kucyku, a tuż za nim hołota obdartusów, a on z kieszeni tynfami im sypie. A nie wiesz to waść o tem, co było

głośnem w całej Polsce, jak honor ojca salwował. Pan marszałek Bieliński zelżył starego Gozdskiego i nie chciał potem dać mu satysfakcyi. Syn, gdy się dowiedział, pędzi do Warszawy, łapie marszałka w karecie i wycina mu policzek. Szanuj ludzi, powiada! Potem musiał uciekać nieborak i zaciągnął się do gwardyi Króla Pruskiego, aż po śmierci marszałka powrócił (*za sceną hałas*). A tam co? Czy nowych gości Pan Bóg prowadzi? Deszcz coraz większy, (*wpada służący oberży*).

Służący. Pan Starosta Kaniowski jedzie.

Malcher. Czyś oszalał?

Paweł. Dobra nasza!

Marcin. Będziesz tu, będzie!

Malcher. Gdzieś go widział?

Służący. A koniuszy pędzi z kozakami aż ziemia dudni. Żydzi uciekają jakby ich ukropem polał, prosto do kogutka naszego walą! A ot ich macie! (*wchodzi Koniuszy, za nim dwóch kozaków: Maksym i Fedko*).

SCENA IV.

Ciż. Koniuszy, Kozacy.

Malcher. (*załamując ręce*) JW. Starosta Kaniowski! Panie Boże miły, a gdzież to moja biedna gospoda go pomieści. Ja radbym nieba przychylić JW. panu staroście, ale co nad siły ludzkie to trudno, ani u mnie wygód, ani miejsca po temu. Panie Koniuszy dobrodzieju, toż tu w miasteczku są inne zajazdy.

Koniuszy. A będziesz ty milczeć łyku. Jeszczem słowa nie wyrzekł, a ten rozpuścił język. Stancye czysto omieść.

Malcher. To się stanie natychmiast... Ale bo czyż to u mnie dla tak wielkiego pana kwatera. Jewka zwija się, nie szczerz zębów (*otwiera drzwi na prawo*): Ot dwie stancye jakie mam, raczcież obejrzeć dostojny panie... ale

to Boże zmiłuj się zaledwie by dla szlachcica uszło... ale nie dopieroż... (*Koniuszy wchodzi do izby.*)

Ewa. Czyś ty oszalał stary? Cóż to, ludzi radbyś odstręczyć od gospody?

Malcher. Cicho bądź, kiedyś głupia. Starosta Kaniowski!—a wiesz ty co to jest? Trawa nie porasta kędy ten pan przejedzie. Człowiek ani mienia, ani życia nie pewny.

Koniuszy. (*wracając*). A gdziesz więcej masz stancyi? (*wskazuje na pokój Gozdskiego:*) Cóż tam?

Malcher. Tam pan wojewodzic bracławski stanął.

Koniuszy. Kto taki?

Malcher. Pan rotmistrz Gozdski, wojewodzic bracławski.

Koniuszy. Choćby djabeł, to niech się wynosi, bo nam tu ciasno będzie!

Paweł. Będziesz, tu będzie!

Marcin. Aż mi się dusza raduje.

Koniuszy. (*wskazując na drzwi w głębi*). A tam co?

Malcher. Tam alkierz dla żony i dla mnie.

Koniuszy. Przeniesiecie się na strych. Ja się tu ulokuję ze służbą. Tamte dwie izby umieść mi czysto. Wysypać piaskiem i tatarakiem. Wykadzić jałowcem? To będą komnaty dla pana Starosty i pani Starościny.

Ewa. Więc i pani starościna tu zjedzie?

Koniuszy. Tak. Aha, to ładny buziak. Dopiero teraz cię spostrzegłem, poziomku (*chce ją pogłaskać.*)

Malcher. (*wchodząc między nich*) Panie, to moja żona.

Koniuszy. To i cóż? Jeszcześ się z tem nieotrzaskał, mój staruchu? przyzwyczaisz się po trochu.

Malcher. To mi niepotrzebne.

Maksym. Batku!

Koniuszy. A szczo?

Maksym. Pan prykazał szczoby czasnek i cebula nieśmierdziały.

Koniuszy. Słyszysz, pan starosta znieść nie może czosnku i cebuli.

Malcher. Toć ja nie żyd u mnie tego specyału nie ma.

Maksym. Żeby koguty w nocy nie piały.

Koniuszy. Wszystkie dziś pozarzynać trzeba.

Malcher. Święta Barbaro! (*do żony*). Słyszysz?

Maksym. Żeby muchy nie gryzły.

Koniuszy. Muchy wytruć!

Malcher. Tak na poczekaniu? Czy już wszystko?

Maksym. Żeby przez dach woda nie ciekła.

Koniuszy. Słyszałeś wszystko? Spełnić co do joty, bo inaczej bizun (*do Marcina i Pawła*). A waście z których okolic?

Marcin. At ze świata.

Koniuszy. Jużci nie z Ameryki. Znani panu staroście?

Marcin. A asanu co do tego!?

Koniuszy. Bo mój pan nie zawsze lubi nowe twarze.

Marcin. To niech siedzi w domu.

Koniuszy. Lepiej mu się nie nawijać z taką wyparzoną gębą.

Marcin. Słuchaj no aść, panie koniuszy, z panem twoim sobie poradzę choćby był dziesięć razy starostą Kaniowskim, a od waści nauk nie przyjmę. Tym zaś co mi dogryzać radzi, przycinam wąsa.

Paweł. Ot co? Dajcież pokój panowie! Panie koniuszy dobrodzieju, nie maluj djabła czarniejszym niż jest. Mam honor przecież znać JW. starostę, nie połknie nas gdy mu czołobitność naszą złożym. A zechce się wziąć do kańczuka nadstawię mu moje plecy, byle za to dobrze zapłacił.

Koniuszy. Aha, to waszeć z tych, co to bizuna szukają aby potem pieniać po sądach. Palestrant! mój pan i takich już nauczył rozumu.

Paweł. A no, zobaczymy. Zajmij się asan swoją robotą, a my tu dalej miodek swój kontynuować będziemy.

Marcin. Oj chciałbym żeby temu bestyi i jego panu Gozdski rogów przytarł. Co myślisz panie Pawle?

Paweł. Dobrzeby było — ale cóż za korzyść? Gdzie dwóch się za łby weźmie tam i trzeciemu coś się okroi.

Koniuszy. Siedźcież ciemięgi, kiedy was skóra swędzi *(do oberzysty)*. A ruszaj się stary! Wywłócz bety, uprzątaj izby.

Paweł. Panie koniuszy dobrodzieju, komenderujesz aż miło. Wszystko się zrobi. A może na zgodę z nami umoczysz wąsa w miodku?

Koniuszy. Nie pijam.

Paweł. Cóż — pokuta?

Koniuszy. Votum.

Marcin. Pobożni ludzie.

Paweł Sodalisy!

Marcin. Kańczug i różaniec. *(krzątanie oberzysty i Ewy, koniuszy puka do drzwi Gozdskiego)*.

Koniuszy. Hej tam! Proszę otworzyć!

Malcher. Panie koniuszy co aść myślisz, tam JW. rotmistrz Gozdski.

Koniuszy. Proszę otworzyć.

Gozdski. *(we drzwiach)* Ktoś ty?

Koniuszy. Kuniuszy JW-go starosty Kaniowskiego.

Gozdski. Czego chcesz?

Koniuszy. Mój pan zjeżdża tu z całym dworem — potrzebne mu są stancye, które Jegomość zająłeś.

Gozdski. Czyś pijany?

Koniuszy. Kropli-m dziś w ustach nie miał.

Gozdski. Toś warjat!

Koniuszy. Mówię najprzytomniej, że mój pan potrzebuje miejsca dla siebie i Jejmości.

Gozdski. *(wchodząc do izby zwraca się do Marcina i Pawła)* No i nie głupiaż to bestya!? Toż widzę, że za mało jeszcze ludzie mówią o tym staroście Kaniowskim. On i jego słudzy, to cały szpital warjatów. Idźże człowiecze i powiedz swemu panu, jeśliś ty i on przy zdrowych zmysłach, że rotmistrz Gozdski stanął tutaj noclegiem i czeka twojego pana, aby się z nim rozmówić i żądać satysfakcyi za despekt, jaki mu sprawiasz. Precz.

Marcin. Krótko i węzłowato!

Paweł. Jak orzech zgryzł.

Marcin. A może JW. pan pozwoli go tak na łeb..

Gozdski. Dziękuje aszmości, mam przecież moich pachołków. Ale nie rękę tu skarać trzeba. Śpiesz i powiedz, że czekam twego pana.

Koniuszy. Stanie, stanie prędzej, niż byś sobie życzył. Zrobiłem swoje reszta do mnie nie należy. Maxym!

Maxym. Batku!

Koniuszy. Słyszysz wszystko?

Maxym. I wiernie powtórzę!

Koniuszy. Na koń, aby uprzedzić pana!

Maxym. Jadę! *(wybiega)*.

Malcher. Jezusie nazareński. Ładne się tu rzeczy będą działy. *(padając na kolana)* JW. panie Wojewodzicu! miej litość nademną i nad moją oberżą! Toż tu kamień na kamieniu nie zostanie. Konopie ludzie siać będą, gdzie moja chudoba stała. Czyby nie lepiej ustąpić?

Gozdski. Nie bój się stary. Choć w twojej karczmie spalę pana Starostę, to ci inną, piękniejszą wybuduję.

Malcher. Matko wielkiego miłosierdzia!

Koniuszy. *(biorąc go za kołnierz)* Będziesz ty uprzątał gawronie?

Malcher. Ha, poganinie! Kamień na kamieniu nie zostanie. Słyszysz Jewka? A com ci powiedział? Na batalję się zanosi.

Ewa. Nie bądź głupi. Panowie się pobiją, a my swoje weźniemy.

Malcher. Weźniemy, weźniemy cięgi!

Ewa. Stancye gotowe, choćby Króla jegomości w nich przyjąć.

Koniuszy. Dobrze sroczko—ty jedna masz rozum. *(przez ten czas Gozdski wydaje rozkazy swej służbie)*.

Gozdski. Kroku jednego nie zrobić bez wyraźnego rozkazu. Czekać skinienia mego.

Paweł. Jak na złość coraz większy deszcz leje. Podusim się w tej karczmie.

Marcin. Aha, chciałoby się aści drapnąć. Opatrz tam swoją demeszkę bo tu łba nadstawić przyjdzie.

Paweł. Nadstawić nadstawię — ale co za korzyść z tego? Dawniej bił mocno ale płacił.

Marcin. Wstydź się aść. Dobrej sprawie służyć warto, choćby tylko guza wziąść w zysku, (*dwóch kozaków otwiera drzwi—wchodzą Starosta, Starościna, Soroka*).

SCENA V.

Ciż. Starosta, Starościna, Soroka—Kozacy.

Starosta. Rotmtstrz Gozdski? dawnom się z nim chciał spotkać.

Gozdski. Tak jak i ja z wami Starosto.

Starosta. Czołem!

Gozdski. Szablą!

Starosta. I ja nie od tego. Pozwolisz mi tylko jegomość dobrodziej rozgościć się w mojej stancyi i żonę moją doń wprowadzić.

Gozdski. Będę czekał.

Starosta. Gdyby nas ulewa do tej karczmy nie ściągnęła, nie miałbym honoru spotkać się z acanem dobrodziejem,

Gozdski. I ja błogosławię to szczęśliwe fatum.

Starosta. Moja żona (*Gozdski się kłania*).

Starosta. Przypatrz się Jejmość panu Gozdskiemu. Kawaler ten słynie z poloru i dworności. A chodźże aśćka! Nie śmiała. Ekonoma mego Dąbrowskiego córka.—Dziś pani starościna Potocka. Ja tak lubię uszczęśliwiać ludzi. Wyklętym za ten dyshonor od całej Potocczyzny. Ona trochę folwarkiem trąci.

Gozdski (*dwornie*). Szczęśliw się czuję że mogę złożyć attencyę Jejmość Starościnie dobrodziejce i przed tylu wdziękami uderzyć czołem. Rekomendacya jej godnego małżonka, bynajmniej nie ujmuje jej w moich oczach głębo-

kiej czci i szacunku, jakim uczuł dla W. pani Dobrodziejki od pierwszego wejrzenia. Któż tylu wdzięków i dystynkcyi o rodowód pyta. Wenery nie urodziła żadna Potocka ani Radziwiłłówna, ale powiadają mytologowie, że powstała z piany morskiej, mimo tego nie przestanie być wiekuistą pięknością.

Starosta. Ot, co mogą dworne słowa. Moja magnifika gotowa i w moich oczach urość na jaką boginie pogańską.

Gozdski. Możebyś się wtenczas czcić jej nauczył panie Starosto?

Starościna. Dziękuję wam, panie Rotmistrzu, za tak piękną obronę czci naszej. Jestem również pewna, że pod gładką szatą kawalera i szlachetne serce być musi. Nieodmów-że prośbie pokornej, którą przy pierwszym spotkaniu zanoszę.

Gozdski. Cały na rozkazy Wasze Starościno.

Marcin. To istna gołąbka obok krogulca.

Paweł. Przedziwna niewiasta!

Starościna. Schowaj urazy panie Rotmistrzu. Niech nie będę świadkiem przelania krwi niewinnej.

Starosta. Milcz panno Dąbrowska, kiedy nie umiesz być żoną Starosty Kaniowskiego. Soroka Zaprowadź Jejmość do izby—pościel jej łóżko i spać ułóż. Gdyby zasnąć nie mogła, zagraj jej na teorbanie i opowiedz parę baśni. Dobranoc asindzce!

Gozdski. Wierzaj mi pani Starościno Dobrodziejko, że prośbę jej spełniłbym bez wahania, ale dotknięty przez jej małżonka...

Starościna Widzę, żem żądała niepodobieństwa. Żegnam Pana (*odchodzi*).

Gozdski. Spełnię wasz rozkaz co do joty.

Starosta. I bić się nie myślisz, panie Gozdski?

Gozdski. Tu nie. Pożyjemy Starosto i kiedyś na bożym świecie się spotkamy.

Starosta. Miękiego serca waszeć.

Gozdski. Dla słabych i bezbronnych, lecz dla tyranów mam dłoń krzepką i szable ostrą.

Soroka *(wchodząc)* Batku!

Starosta. A szczo skażesz?

Soroka. Jejmość spać nie chce—a płacze.

Starosta. To zatańczuj jej byczka.

Gozdski. To rozkaz godny baszy, nie polskiego szlachcica.

Paweł *(cicho do Marcina).* Tyran bestya.

Marcin. Infamis!

Starosta. Paneńku! a znasz lepszą szlachtę nad Potockich? Wasz nowy król kreuję słyszę moich wszystkich żydów w Buczaczu, żeby już nie miał co bić Starosta Kaniowski, a ja mu taki i szlachciców jego bić będę — tylko, że płacić muszę, a tu już nema hroszy.

Marcin. JW-ny Wojewodzicu! i tak na sucho ma się skończyć pierwsze spotkanie z panem Starostą Kaniowskim? Wyście zmiękczeni łzami i prośbą pani Starościny dali słowo, ale ja go nie dawałem i, w imieniu obrażonej szlachty naszej, wyzywam was na rękę JW. panie Kaniowski.

Starosta. Ty! co za czort? Chcesz batów? powiedziałem ci, że pieniędzy już nie mam.

Marcin. Chcę krwi waszej. Jestem szlachcic z dziadów pradziadów, herbu Prus, taki dobry, jak Potocki.

Paweł. Sfiksował nieborak.

Gozdski. Dobrze Prusie.

Marcin. Dalej, panie Starosto.

Starosta. Niechże nam pan Gozdski sekunduje.

Gozdski. Z całego serca.

Malcher. Jezu nazareński, taki chudzina idzie na pana Starostę.

Ewa. Cicho stary—siądź pod piecem.

Ławnik. Ja uciekam.

Starosta. No, to stawaj Prusie! obetnę ci uszy na pamiątkę.

Marcin. Jak Bóg da! *(składają się. Marcin wytrąca Staroście karabelę. Koniuszy i kozacy chcą się rzucić na Marcina).*

Gozdski. Wara! Stać hultaje, bo pierwszy co się ruszy legnie trupem! Tu pojedynek, nie bójka!

Starosta. (*do służby*) Precz psie syny! Siodłać konie! Wyjeżdżamy! Spotkamy się we dnie przecie i nie podczas deszczu.

Gozdski. Spotkamy.

Starosta. Wyprowadzić Jejmość. Jedziemy! (*odchodzi gniewny. Po chwili wychodzi Starościna ze swoich pokoi—poprzedzona przez Sorokę—zakryta woalem gęstym—odchodzi głębią.*)

Gozdski. Ot, biednia ofiara! Dzielnieś się spisał panie Prus Odrzywolski, nie chciałbyś się zapisać do mej chorągwi?

Marcin. Jeśli taka wola JW. Pana?

Gozdski. Biorę cię. Hej ten dumny niecnota połechtał moją fantazyę, wypłatamy mu sztukę. On do Zbaraża jedzie i mnie tam spieszno. W drogę dzieci.

Paweł. Fortuna z tobą panie Marcinie, trzeba i o sobie pomyśleć!

Malcher. Bogu najwyższemu dzięki, że się na tem skończyło.

Ewa. Gdybym mogła, tobym z niemi uciekła!

(*zasłona spada*).

AKT II.

(*W Zbarażu. Obszerna izba. W głębi duże okna. Drzwi z prawej i lewej strony*).

SCENA I.

Starosta. (*siedzi z lewej przy stole, przed nim duża szklanica miodu;—pali fajkę na długim cybuchu, którą mu mały kozaczek ciągle poprawia i zapala, gdy gaśnie. Przy drzwiach po dwóch kozaków dyżurnych. Przed starostą stoi Soroka*).

Starosta. Co ci powiedział?

Soroka. Powiedział że was niedługo odwiedzi. Czy w Buczaczu, czy też w Zbarażu nie wie jeszcze... ale skazał: Powiedz swemu panu, że jeszcze przed świętym Janem—niech się gotuje na przyjęcie.

Starosta. Ot czort! ano popróbujemsia.

Soroka. Ot batku, nas dwudziestu mołojców skoczyliby, związali i do Zbaraża przystawili.

Starosta. Głupi ty! Was dwudziestu to u niego na jedną rękę.

Soroka. To milicyęby sprowadzić z Kaniowa.

Starosta. A może pospolite ruszenie zwołać? kpy wy wszyscy! Sztuką wziąść trzeba tego junaka.

Soroka. Znaju, tak jak z panem Chorążym.

Starosta. Ot kiep — Chorąży to mała rybka przy nim. Zapolujemy na niego, jak na niedzwiedzia. W Buczaczu ułożymy plan cały. Idź do Jejmości popytać czy

czego nie potrzebuje (*do kozaków u drzwi z prawej*) a wy wpuście tu tych złodziei. (*Soroka odchodzi; wchodzą Ekonon i Żyd*).

SCENA II.

Starosta, Ekonom, Żyd.

Starosta. To, wy pogańskie syny, gdy pana nie czujecie pod bokiem, to już myślicie, że on nie wie o niczem? Ja czy w Buczaczu, czy w Kaniowie, we Lwowie, czy w Zbarażu będąc, w duszę wam patrzę. (*do kozaków*) Zawołaj na mołojców niech będą gotowi spełnić wyrok (*do żyda*) A ty indukuj sprawę.

Żyd. Przejaśnie, najjaśniejszy Starosto! ja mówię prawdę, jakby przed rabinem, Na święty Michał to u nas jest kucki...

Starosta. (*zrywając się*) Tfu! To ty kanalio kucki ze świętym Michałem będziesz mięszał?

Żyd (*padając mu do nóg*) Niech Pan Bóg zabroni, przejaśnie panie Starosto. Święty Michał to jest święty, a grojse purec... a my biedne żydki o tem czasie mamy swoje kucki. Tak się mówi Jaśnie panie Starosto.

Starosta. Dalej! ale nie waż się mieszać świętego Michała.

Żyd. Niech Pan Bóg zabroni. Nu, ja u niego obstalował 80 baranów po dwa złote i dał jemu zadatek 40 złotych, echt przy świadkach. I on mi miał barany dostawić do Złoczowa. Tymczasem kucki przeszły i baranów nie ma, bo on je drugi raz sprzedał Ormijanom do Lwowa, a mnie powiedział co barany wilki zjadły w Zborowskim lesie, żebym sobie wziął owce maciory. Tego nię może być, maciory to jest trefne mięso, my tego nie jadamy. A jak ja przyszedł do niego tu do Zbaraża, to on mnie obił... a jak ja zaniósł skarge do pana rządcy do Buczacza, to on skargę schował w kieszeń i pokazał mi figę. To ja się udaje do przejaśnie pana Starosty...

Starosta. (*do Ekonoma*) Ty gadaj!

Ekonom. Niech że mu ten przeklęty język do podniebienia przyrośnie. JW. Panie byłżebym ja zdolen do podobnej infamii. Ten niewiara nachodził mnie ciągle, to o owce, to o gęsi, to o pszenicę. Niech powiedzą ludzie wiele razy wytrzepać go kazałem i wypędzić za wrota. U mnie się pańskiego dobytku nie sprzedaje, mówię mu, są na to dyspozytorzy pańscy! Nie — taki morduje mnie i morduje. Co to szkodzi, powiada, pan Starosta nie będzie wiedział. Aby go się pozbyć sprzedałem mu moich dziesięć sztuk.

Żyd. To nieprawda. Przejaśnie Panie Starosto! On sam pierwszy przyszedł do mnie. Wziął dla swojej Jejmości bardzo ładne i drogie aksamit na szubkę za dwadzieścia złotych, a drugie dwadzieścia ja mu dałem gotówką, to jest czterdzieści i miał mi ośmdziesiąt baranów dostawić. Ja to przysięgnę przed rabinem.

Starosta. Obadwaście złodzieje. Ty pańskie sprzedajesz, a ty od złodzieja kupujesz. Tyś szlachcic, a ty żyd. Położyć szlachcica a na nim żyda i dać mu pięćdziesiąt. Niech szlachcic żydowi za ławę służy!

Żyd. Przejaśnie... (*Kozacy ich odprowadzają na lewo*).

Starosta. Kto tam więcej czeka?

Maxym. Jakiś pan Piskorski były komornik gozdski.

Słtarosta. Dawaj go tu! (*wchodzi pan Paweł z prawej*).

SCENA III.

Starosta, Pan Paweł.

Paweł. Czołem przed najznakomitrzym luminarzem naszej Rzeczypospolitej. Czołem przed magnatem, któremu równego nie było, nie ma i nie będzie—który...

Starosta. (*przerywając*): Ktoś jest? Czego chcesz?

Paweł. Jak Cezar przemawiasz, wielki Starosto. Lapidarne to słowa... a wiem że i lapidarnie skórę garbować umiesz.

Starosta. Było to kiedyś... teraz już nie biję—więc źleś się wybrał mosanie.

Paweł. Wiem, wiem, JW-ny Starosto Dobrodzieju, jak nadużywano dobroci twojej. Lada szuja poddawał grzbiet pod batogi pańskie, a potem się pokazało, że to szlachcic i grzywny płacić trzeba było. Stawałem w jednym takim procesie...

Starosta. Gadaj krótko, czego chcesz?

Paweł. Krótko, króciutko JW. Starosto dobrodzieju... Do kielicha wam spieszno... a toć i ja odwilżyłbym spragnione gardło. Jeszczem na czczo, Bóg świadkiem.

Starosta. *(do kozaczka)*; Nalej mu!

Paweł. (*biorąc kielich*) Za przezacne drogie zdrowie wasze! *(pije)* Ha! po miodzie gładko i słodko interesik nasz pójdzie. Wczoraj w Glinianach miałem to szczęście widzieć dostojne oblicze pańskie i jego małżonki.

Starosta. (*odkrząknąwszy mocno*) Ad rem!

Paweł. Zaraz dostojny Starosto. Jestem szlachcic, bene natus, mogę służyć za świadka JW. Panu Staroście, gdyby kiedy znów z Jemci panem Gozdskim okazya się zdarzyła...

Starosta. (*stuknąwszy mocno pucharem)* Czy dowiem się...

Paweł. Zaraz! *(n. s.)* Źle trafiłem. *(głośno)* Oto Starosto dobrodzieju ni mniej ni więcej tylko widzicie we mnie Jeneralnego waszego wierzyciela. Wykupiłem wszystkie na was dekreta kosztem mojej chudoby i przychodzę pertraktować, aby zgodnym sposobem rzecz ubić.

Starosta. Hę?

Paweł. Nie wiele ja na tem zarobię. Bóg świadek Ot zaledwie sobie jaką drugą wioszczynę wysztukuję.

Starosta. Aha! Słyszałem i nie chciałem wierzyć. Więc to asindziej jesteś tym exekutorem. A pokaż no, wiele tam tego?

Paweł. A będzie do dziesięciu tysiączków, Starosto Dobrodzieju...

Starosta. Tylko? i ty się śmiesz moim jeneralnym exekutorem mianować? Toś zwaryował bratku. Słyszycie dzieci! Ten hebel śmie mnie liczyć na jakieś liche dziesięć tysięcy? toś chyba poskupował dekreta od moich buczackich żydów?

Paweł. Wolne żarty JW. panie, wolne żarty.

Starosta. Pokaż sam tu te dekreta.

Paweł. Oto są! przy świadkach JW. Starosto (*wydobywa plikę papierów i kolejno je czyta*) Primo: „Wdowie Krętobłockiej za obcięcie uszu jej karbowemu, alias przyjacielowi i krewniakowi — przyznane dekretem grodzkim w Tarnopolu złotych polskich 520.

Starosta. (*biorąc*) To niesprawiedliwie! przecież i bez uszu można pani Krętobłockiej pomagać. Dalej!

Paweł. Secundo: Za napaść klasztoru bernardynów Złoczowskich i rozpojenie dwóch braciszków w czasie wielkiego postu, a potem pokrzywdzenie ich cielesne, dekretem sądu hrowskiego złotych polskich dwa tysiące.

Starosta. (*biorąc*) I to nie uczciwie. Rozochociłem biednych mnichów, którzy powinni wdzięczność zachować dla mnie do śmierci, a że się tam coś przylepiło...

Paweł. Tertio: Batogi wysypane Imci panu Onufremu Lejbickiemu, dobrze urodzonemu, dekretem sądu czortkowskiego złotych sześćset...

Starosta. (*j. w.*) Lejbicki dobrze urodzony, to chyba sami mechesi ten wyrok ferowali.

Paweł. Quarto: Zadane imparitatem dobrze urodzonemu Jaśnie Panu Michałowi.

Starosta. (*biorąc od niego resztę*). Zostaw aść tę resztę bazgraniny, wolnym czasem ją przejrzę, a zapłacę aści ryczałtem wtenczas, kiedy będziesz taki mądry, że i od siebie na mnie dekret wyjednasz. Ot włos ci z głowy nie spadnie, a jednak długo pamiętać mnie będziesz.

Paweł. Panie starosto dobrodzieju, miejcież Boga w sercu. Ja Wólkę moją na te dekreta utopiłem.

Starosta. Boś głupi. Ja także ciebie utopię, a będziesz zdrów i cały (*oglądając go od stóp do głowy*). Pię-

knieś się ubrał komorniku. Od tego białego żupana, aż łuna bije.

Paweł. Chcąc się godnie prezentować osobie pańskiej...

Starosta. (*do kozaków*). Przywieźli nam świeżo parę beczek smoły i dziegciu. Wylać jedną beczkę i dna wyjąć, niech jejmość przez beczkę przelezie w białym żupanie. Jeżeli wyjdzie czystym bez czarnej kropli, zapłacę wszystko bez sądu, a jeżeli żupan umaluje dobrze w smole, niech że mnie processuje.

Paweł. Miejcież sumienie J. W. panie starosto!

Starosta. A cóż ja tak złego aści wyrządzam? Odmalowaliście tego starostę Kaniowskiego, że już na całej skórze jego bogdaj na łepek szpilki uczciwego miejsca nie ma, tylko plamy brudne i szpetne. Poprubój aszeć, czy to tak łatwo nie zwalać się. Satis! Jak mi wyjdziesz czysty, zapłacę, zwalasz się, pójdziesz do grodu.

Paweł. O nieszczęsna godzina moja!

Starosta. Dalej! w smołę panie komorniku, popatrzę, jak aść przez beczkę peregrynować będziesz.

Paweł. Panie starosto dobrodzieju, raczej trupem u nóg waszych padnę, aniżeli takiego despektu dopuszczę na osobie mojej. Ulitujcie się!

Starosta. A aść miałeś nademną litość, gdyś się chciał zbogacić moją krzywdą. Dalej w beczkę!

Paweł. O dolo nieszczęśliwa! Po co ja wlazłem do tej jamy. JW. Starosto odstąpię coś z dekretów, tylko mi nie wyrządzajcie krzywdy.

Starosta. Głupiś aść, ja ci dołożę i grubo a tej satysfakcyi nie daruję.

Maksym, Wszystko gotowe batku!

Paweł. (*n. s.*) Nie wykręcę się. O święty patronie, pomagaj.

Starosta. Dalej! Tylko kontusz aść zdejmiesz.

Paweł. Despektujecie szlachcica starosto. Gdzież mnie bez kontusza.

Starosta. Kontusza szkoda, komorniku.

Paweł. A prawda, (*odchodzą wszyscy na prawo, widać ich na dziedzińcu, z przeciwnej strony wchodzi Żyd i Ekonom*).

SCENA IV.

Żyd, Ekonom.

Ekonom. Poczekaj psiawiaro! Nie było jeszcze przykładu, żeby szlachcic za ławę żydowi służył.

Żyd. Ny! czemu się Jegomość ze mną nie pomieniał? Wszak ja chciałem leżeć pod spodem.

Ekonom. A ja za ciebie miałem być bitym kanalijo?

Żyd. A co będzie z mojemi pieniędzmi?

Ekonom. Jużeśmy się skwitowali.

Żyd. Jakto skwitowali?

Ekonom. Czy nie leżałem pod tobą żydzie? Takiego despektu i za sto talarów bym nie chciał.

Żyd. Co to jest? Jak pan starosta powiedział, co my obadwa złodzieje, to my sobie jesteśmy równi, a jak Jegomość nie chce mi oddać moich czterdzieści złotych, to Jegomość jest większy złodziej odemnie. A jak mi Jegomość nie odda, to ja powiem o tej pszenicy i o ten owies, i o ten jęczmień, to Jegomość będzie cztery razy większy złodziej, bo Jegomość będzie Enfamis. Ja znam statut i wtenczas pan starosta każe Jegomości być na wierzchu a ja będę pod spodem. Ja idę do pana starosty.

Ekonom. Milcz żydzie, oddam, bo wolę, żebyś był zawsze na wierzchu. (*śmiechy i wrzaski za sceną, żyd i ekonom wychodzą na prawo*).

(*Kurtyna spada*).

ZMIANA.

(*Cela więzienna. W głębi drzwi po schodkach, takież drzwi z prawej. Z lewej okratowane okno dosyć wysoko. Umeblowanie proste i skromne*).

SCENA V.

Soroka *głową w oknie.* **Starościna** *przy stoliku z lewej,*

Soroka. A czortby tego lacha! To wszystko przez niego. Po co on Jejmości całą drogę piosenki śpiewał.

Starościna. Mogłażem mu zabronić?

Soroka. Toć ano jest prawda. Ale Jejmość wyglądała do niego oknem z powozu, a on się pięknie kłaniał Jejmości, a w panu staroście się przewracało. Wąsa targał, a białka oczu przewracał. Jeszcze nigdy takim zaczarowanym go nie widziałem. On tego Gozdskiego cierpieć nie może, powiedział raz: albo on! albo ja! dwóch nas za dużo na tym świecie! A teraz on tu figle stroi do Jejmości... Ja zaraz mówiłem, że będzie źle.

Starościna. Kiedy mi tu źle nie jest.

Soroka. At, niechby pioruny biły takie dobre! Ja bym się urwał, a Jejmość po staremu płacze.

Starościna. A cóżbyś ty zrobił Soroka, gdybyś był na mojem miejscu?

Soroka. Ja tam nie wiem, ale mówią, że kobiety to różne rzeczy potrafią.

Starościna. Mnie ich nie nauczono.

Soroka. Prawda, Jejmość święta kobieta, płakać tylko i modlić się potrafi. A mnie się serce ściska, bo mnie Jejmości żal(*przyciszonym głosem i oglądnąwszy się dokoła*). Ot, wie Jejmościunia! gdyby tak panu staroście stawić dęba. Ot ja go znam, zaraz spuści z tonu i zmięknie.

Starościna. Przyjdzie czas, że się upamięta i ulituje nademną.

Soroka. Przyjść, przyjdzie. On i teraz już wzdycha i trze czuprynę... a rano kazał sobie dać solenne batogi ojcu Hieronimowi. Mnich bił do krwi... Po tem parę razy już się tu przejść zamierzał. Ale taki zawsze, gdyby mu Jejmość wypowiedziała verba veritatis...

Starościna. Sumienie jego niech w mej obronie stanie.

Soroka. Jejmość zawsze swoje... jak z książki.

Głos za kulisami. Soroka!

Soroka. Wołają mnie. Jakby Jejmość czego potrzebowała, to zapukać tylko do tych drzwi, tam siedzi Magda Fedkowa i ma przykazane, aby Jejmości usłużyć. (*wychodzi*).

Starościna. Dziękuję!

SCENA VI.

Starościna (*sama*). Gdyby ten karceres tak dłużej potrwał, byłabym bardzo szczęśliwą. Niestety przyjdzie wyjść na światło dzienne i tam katusze znosić. Jak wczoraj w tej karczmie. Biedna matko moja, marzyłaś dla mnie zawsze o królewiczu, i przyszedł królewicz do biednej ekonomskiej córki, zabrał jako dań sobie należną, jako kwiatek z swojego pola... jak pańszczyznę i zamknął na rygle i służyć sobie każe i pogardą ją karmi wobec świata, jak gdyby pierś biedaczki innych uczuć była nie zdolna. I toż los godny zazdrości? Pani starościna! Kasia panią starościną została! powtarzały z zazdrością rówieśniki moje. Kasia wielką panią. Ta Kasia, co w perkalikowej sukience i w kozłowych bucikach podwieczorek ojcu nosiła w pole. Wydziwiana nieraz przez panny Strukczaszanki, że więcej książką, jak kądzielą zajęta. Ot, oddałabym wam z rozkoszą to dostojeństwo za jedną cichą noc pod rodzicielskim dachem. (*zamyśla się*). Jakiż to szlachetny i piękny młodzian ten Gozdski. A jaka odwaga! Przeczuwam, że się to może źle skończyć. Starosta nie daruje. Odmówię koronkę na jego intencyę. (*bierze książkę z koronką leżącą na stole*). Zdrowaś Panno Maryo..

Dziwna rzecz! jam go już raz widziała, ale gdzie nie pomnę... łaskiś pełna, pan z tobą i błogosławionaś ty między niewiastami... Jaki posłuszny. Wolał znieść upokorzenie i drwiny starosty, byle mnie nie zmartwić. Oh, gdyby oni wszyscy byli tacy... I błogosławionaś ty... Nie mogę. Cóżbo mi się dziś stało? Ta wczorajsza awantura w Glinianach ciągle mi na oczach stoi. Mój Boże, czy to tak trudno być dobrym? Afekt mówią, afektem się płaci. Gdyby mnie kochał, czyżby więził w tym lochu? A jaż mam błogosławić tę rękę, która mi ciągle gorycz podaje. Straszna dola! (*pada przez okno kamień owinięty w papier*). Jezus Marya! Jakżem się przestraszyła. Cóż to jest? Jakiś papier. (*rozwija i czyta*). „Przyjaciel czuwa nad tobą, wierz i czekaj." Przyjaciel? jaki? Mam jednego przyjaciela, który mnie tu zamknął, męża. Przyjaciel! Jakże on się tu dostał przez fosy i rygle zbarażskiego dworu i przez zgraję kozaków? Cóż mi przyjaźń jego dać może? Większą srogość i utrapienie starosty.

Starosta. (*za sceną*). Soroka!

Starościna. To on! drzę cała jak gdybym popełniła występek. Przyjaciel! Ha odwagi! Niechże czuwa nademną i pomaga w tem piekle.

Starosta (*za sceną*). Okulbaczyć mi białonóżkę, a dla Jejmości do kolaski zaprządz. Pojedziemy do Buczacza. (*wchodzi*).

SCENA VII.

Starosta, Starościna.

Starosta. Jejmość koronkę odmawiała, a na jakąż intencyę?

Starościna (*po chwili, jakby przezwyciężając siebie*). Prosząc o upamiętanie wasze starosto.

Starosta. Ano, znać gorliwie, bo oto prośby się spełniły i wracam aśćce activitatem.

Starościna (*coraz śmielej*). Na długo?

Starosta. Oh, aśćka mi coś dzisiaj rezolutna. Snać ten karceres takie mądre jej myśli nasuwa.

Starościna. Toć myśleć mi tu wolno?

Starosta. Myśli bywają zdrożniejsze od czynów. Dawnoś nie była u spowiedzi. Niech ksiądz Hieronim ureguluje aśćce w głowie.

Starościna. Złym on przewodnikiem sumienia, jeżeli was miłościwy starosto sprawiedliwością natchnąć nie umiał.

Starosta. Co aśćka mówi?

Starościna (*z ogniem*). Za co spotykają mnie te kary i despekta, które mi ustawicznie wyrządzacie, panie starosto? Jeżeli w swej nieograniczonej łasce raczyliście mnie biedną, ekonomską córkę pojąć sobie za żonę i nazwiskiem swojem dostojnem udarzyć, toć poszanujcie tę dostojność, albo gdym wam nie miłą i wstrętną, odeszlijcie na folwark do ojca. Dotychczas bez szemrania znosiłam kary, za uchybienia, których pojąć nie mogłam, nie świadoma obyczajów waszych, ale gdy wobec ludzi obcych obchodzicie się ze mną gorzej służebnicy... wstyd mi! wstyd i hańba za was, panie starosto! Za cześć moją niewieścią! Jeżeli każde moje ukazanie się między ludźmi ma spotykać taki okropny dyshonor, jak wczoraj w Glinianach, zamknijcież mnie raczej na wieki w najciemniejszym lochu buczackiego zamku, a błogosławić was będę.

Starosta. (*mrucząc i szarpiąc wąs*). Hm! hm! ekonomska detyna podjadła starościńskiego obroku i brykać jej się zachciewa.. a wszystkiemu winien ten przeklęty Gozdski. Już ja mu... Aśćki wstyd i srom cały należy do mnie, i gdy ci każę na lwowskim rynku przez obręcz skakać, to skakać będziesz. A każdy, co na to patrzeć będzie, nie powie, że to panna Dąbrowska ale starościna Potocka skacze posłuszna swemu panu i mężowi. Ha! mała jaszczurko ty. Zaleciał cię odór światowych piosenek junaka Gozdskiego i zawróciła się głowa pannie Dąbrowskiej. Ja ciebie w jednej koszuli przepędzę na folwark, a twego starego ojca nahajami wyrzucić każę z wioski, którą mu darowałem.

Starościna. Tego nie uczynicie, panie starosto.

Starosta. Dla czego?

Starościna (*z siłą*). Boś szlachcic i katolik, bo krzywda ludzka zaciąży na sumieniu twojem i nie odkupisz jej choćbyś sto kościołów wystawił. Krzywda albo śmierć mego ojca mnieby zabiła, a ja niedarowałabym ci z tamtego świata, dręczyć bym nieprzestała.

Starosta. No, no, nie alteruj się! krzywdy ani twej, ani ojca twojego nie chcę. Posłuszeństwa żądam od Jejmości jak przystało dla żony starosty Kaniowskiego.

Starościna. A ja mam prawo żądać szacunku, jako starościna Kaniowska i biada temu, kto mi uchybia.

Starosta. A czortby tobie! Ot, zagrała krew szlachecka. Dobrze Kasiu. Taką cię lubię. Daj rękę na zgodę.

Starościna. Nie dam. A w karcesie tu zostanę dopóki mi Jegomość nie przyrzekniesz słowem szlacheckiem, że mnie szanować będziesz. Inaczej krokiem się ztąd nie ruszę i wolę zamrzeć tu w tym lochu, niż wstyd mój wlec po świecie.

Starosta. Zwaryowałaś rybko.

Starościna. Niewiem kto z nas dwojga waryatem. Mówię wam to z ręką na sercu. Dotychczas płakałam tylko i znosiłam tyraństwa wasze, od dziś jestem starościną Kaniowską i tak jak wy szaleć poczne.

Starosta. Hola Kasiu! Zgoda! Daj rękę.

Głosy za sceną. Ratuj kto w Boga wierzy!

Gozdski za sceną. Wiązać silnie!

Kozacy za sceną. Preklatyj lach!

Starosta. Co to jest? Gozdski? Zdrada! Hej do mnie! (*wchodzi Gozdski*).

SCENA VIII.

Ciż Gozdski, *jego służba, później* **Pan Paweł, Marcin.**

Gozdski. Próżnobyś krzyczał, starosto, kozactwo twoje powiązane, leżą jak kłody. Powiedziałem przez twego

sługę, że jeszcze przed świętym Janem cię odwiedzę. Otóż jestem. Cześć składam pani starościnie. Naprożnom przebiegł dworzec cały aby was pani odszukać. Należało mi się odrazu udać do lochów. Bo gdzieżby indziej starosta Kaniowski chował żonę.

Starosta. Toś rozbójnik, panie Gozdski. Napadasz mnie w własnym domu.

Gozdski. A jakże inaczej dom aści nawiedzać można jak nie zbrojno? Gdybym do cię samotrzeć przybył, zamknąłbyś mnie obiwszy, a ja zawsze sam bić wolę. Przyjdźcie do siebie szlachetna pani, widzisz we mnie swego rycerza i obrońcę.

Starosta. Toś aśćka była w zmowie z tym junakiem!

Gozdski. Nie znieważaj szlachetnej niewiasty, którejś nie wart, panie starosto. Widząc tę straszną tyranię, przysiągłem sobie oswobodzić twoją żonę. Racz mi podać rękę starościno... a wam nie radzę ani gwałtu ani krzyku, bo na jedno skinienie moje zobaczycie się w dybach.

Starosta. I ty myślisz junaku, że mi ją bezkarnie uprowadzisz a mnie shańbisz? Toć chyba mnie zabijesz, bo jeżeli żyw będę to dom twój zburzę a ciebie upiekę na wolnym ogniu

Gozdski. To się pokaże. Życia ci nie wezmę, bom nie rozbójnik. Tą niewiastę oswobodzę bo godna lepszego losu. A co dalej będzie, w ręku Boga!

Starosta. I jejmość pójdziesz z tym rozbójnikiem?

Starościna. Nigdy! Odstąpcie panie! Niczemże u was dobra sława i cześć niewiasty? Ja nie mogę iść z wami. Jakikolwiek los zgotowała mi opatrzność, winnam mu się poddać bez szemrania.

Starosta. Słyszysz rozbójniku! Precz! Do tego doszła rozpusta w dzisiejszych czasach, że dom obywatela i cześć jego rodziny okalać może jeden hołysz i awanturnik.

Gozdski. Nie wam mówić o cnotach rodzinnych, panie starosto Kaniowski, życie wasze koniec bierze. Na-

stają czasy gdzie cześć niewieścia szanowaną być musi, podaj mi rękę pani starościno. Gdy cię przebłaga i przysięgnie poprawę, wola twoja będzie do niego wrócić. Teraz zabieram cię pod opiekę swoją i mej siostry a ztamtąd żadna siła ludzka cię niedobędzie.

Starościna. Nie mogę.

Gozdski. Przysięgam ci pani na siwą głowę mego zacnego ojca, którego czczę najwyżej po Bogu, że dla dobra twego i przykładu, przedsiębiorę tę wyprawę. Powierz się mojemu honorowi, bo inaczej siłą zmuszony cię wziąść będę.

Starościna. Ha, posłuszną się staję rozkazom twoim panie, ale pomnij, że honor mój i życie składam w ręce twoje.

Gozdski. Nie zawiodę cię, pani.

Starosta. Stój junaku! Słuchaj! Przysięgam ci na Trójcę świętą, że żywym nie wyjdziesz z tej afery. Poruszę niebo i piekło a wiesz, że mam siły. Zabij mnie nim ją weźmiesz.

Gozdski. Drwię z pogrózek twoich! (*Paweł przeciska się przez ciżbę dworzan Gozdskiego w powalanym żupanie z umazaną twarzą*).

Paweł. Puścież mnie ludzie. Jeżeli tu sąd boży spełniasz Rotmistrzu, toć i nademną się ulituj. Ot patrz co ten poganin potrafi zrobić ze szlachcica.

Gozdski. Zasłużyłeś, boś chytry!

Marcin. Karoca założona, czeka rozkazów pana Rotmistrza.

Gozdski. To dla pani. Ja konno towarzyszyć jej będę. Bądź zdrów starosto. Zanim ci posiłki z Buczacza przyjdą, ja już będę daleko. (*odchodzi z starościną, za nim służba*).

Starosta. Bogdaj ciebie, mnie i was wszystkich jasne zabiły gromy. Ot, powiesić mi się ze wstydu! Hej, wy chamy do mnie!

Głosy za sceną. Niemożemy batku, powiązał w pień.
Starosta. Ha, wy podłe dusze, szablą rozcinać was będę! (*wychodzi*).

(*Zasłona spada*).

AKT III.

W zamku Gozdskich. Sala duża w gotyckim stylu. W głębi główne wejście. Okno na przodzie z prawej. Po bokach drzwi do komnat.

SCENA I.

Wojewodzina, Marszałek, Służący.

Wojewodzina. (*wchodzi z lewej, dzwoni, wchodzi służący*). Wezwij do mnie Marszałka.

Służący. Natychmiast. (*wychodzi, po chwili wchodzi Marszałek*).

Wojewodzina. Co tu się działo tej nocy? Cały zamek był w ruchu. Kilka regimentów żołnierzy weszło w bramy?

Marszałek. Pan Rotmistrz przybył ze swoją milicyą z Zbaraża wraz z panią starościną Kaniowską.

Wojewodzina. Co aść mówisz? Z panią starościną Kaniowską?

Marszałek. Tak JW. pani. Właśnie bawi teraz w apartamentach księżnej pani i nie długo z nią zejdzie na pokoje, aby się przedstawić JW. pani i całemu domowi.

Wojewodzina. To wszystko bajką, albo snem dla mnie. Z panią starościną Kaniowską powiadasz wasze?

Marszałek. Boć też i podobne do snu albo do bajki, miłościwa pani. Jak długo żyję na świecie a wiadomo JW. pani, żem był w usługach nieboszczyka prymasa Radziejowskiego...

Wojewodzina. No no, do rzeczy.

Marszałek. Ot, po prostu pan Rotmistrz, odbił żonę staroście.

Wojewodzina. Kaniowskiemu staroście? Powiedz mi waszeć, że zabrał seraj sułtana tureckiego w Stambule, a uwierzę prędzej... ale staroście...

Marszałek. Polował na niego ciągle, a dopadłszy go z małą załogą w Żbarażu nieprzygotowanego, wziął jak swoją. Gruchnęła też ta wieść pędem gromu po okolicy, ludzie głupieją ze zdziwienia z przeproszeniem JW. pani. Już za panem Rotmistrzem przyciągnął pan Kasztelanic, a przed chwilą zajechała pani Podkomorzyna, i patrzeć tylko, jak ich tu coraz więcej nadpłynie.

Wojewodzina. Gdzież ona? u księżnej powiadasz? widziałżeś ją aść, ładna?

Marszałek. Nadobności wielkiej niewiasta. Przypomina mi panią Kasztelanowę liwską... tylko niższa... a smutna bardzo.

Wojewodzina. On ją pocieszać będzie. A gdzież jest pan Rotmistrz? racz go aść prosić do mnie.

Marszałek. Spełnię rozkaz (*chce odejść*).

Wojewodzina. Czekaj! Czy pan Wojewoda już uwiadomiony?

Marszałek. Właśnie pan Rotmistrz zdaje mu w tej chwili relacyę,

Wojewodzina. I sądzisz waszeć, że pan Kaniowski... *urywa postrzegając Gozdskiego, który wchodzi głębią z Marcinem*).

Gozdski. No już to chleba aść darmo nie jesz. Dzielnyś! Idź spocznij, nie prędko cię potrzebować będę.

Marcin. Gdy usłyszę stuku puku, nie wytrzymam.

Gozdski. Daleko jeszcze do tego.

Marcin. Nie zdaje mi się JW. panie. (*odchodzi*).

SCENA II.

Gozdski, Wojewodzina.

Gozdski. (*spostrzegając Wojewodzinę*). Ah, mateczka dobrodziejka już na nogach.

Wojewodzina. A i któżby był zdolen spoczywać słysząc ten szczęk oręża? Rozumiałam, że zamek zdobywać będą.

Gozdski. (*całuje jej rękę*). Może i przyjdzie do tego.

Wojewodzina. Tak, naszą spokojność Waćpan swym hulackim wybrykom poświęcasz. Nigdym nie imaginowała, że waćpan posuniesz do tego stopnia zuchwałość. Dotychczas poprzestawałeś na mieszczankach i obcinałeś uszy i nosy ich mężom, dziś porywasz żonę Potockiemu. I na czem się to skończy:

Gozdski. Bóg to wie jeden.

Wojewodzina. Doprawdy, żeby prawa w naszej Polsce szanowane były, to swywola waćpana już byłaby ukróconą.

Gozdski. To jest, gdybyś mateczka dobrodziejka była Marszałkiem trybunału, kazałabyś mnie w swojej nieograniczonej miłości macierzyńskiej co najmniej rozstrzelać. Ale nie wszyscy sędziowie i deputaci zgodziliby się na wasz wyrok, a najmniej mój kochany ojciec.

Wojewodzina. Korzystasz waćpan z zaślepienia niedołężnego starca.

Gozdski. Nie tyle jednak, co inni...

Wojewodzina. Pamiętaj, że niebezpieczną grę prowadzisz ze mną, i że dotrzymam; com mu przyrzekła.

Gozdski. Tak, jak i ja swojej powinności dochowam; będąc dla was zawsze niczem więcej jak tylko najprzywiązańszym, najuleglejszym... pasierbem... (*całuje jej rękę*) Lecz skończmy tę dysputę, bo goście zaczynają się schodzić.

Służący (*anonsując*). Pan Kasztelanic Wojnicki. *wchodzi Kasztelanic).*

SCENA III.

Ciż i Kasztelanic.

Kasztelanic. Rotmistrzu kochany! Kpy przy tobie, wszyscy bohaterowie. Co mi tam Parys jakiś... Co mi tam... (*spostrzega Wojewodzinę*). A, pani Wojewodzina. Do stópek się ścielę i całuję te śliczną rączkę. Proszę wybaczyć tę moją nieco rubaszną przemowę. Już dwie nocy nie śpię, czekając, jaki obrót weźmie sprawa rotmistrza. Rozstawić kazałem chłopów na koniach aby mi natychmiast znać dali o jego przybyciu. Nie zdążyłem wypić kawy, bo pędem przybiegam, aby mu powinszować.

Wojewodzina. Czegóż to panie Kasztelanie?

Kasztelanic. Morbleu! Uprowadzić żonę Kaniowskiemu? Oswobodzić uwięzioną, tyranizowaną piękność? Rozpędzić całą załogę, to mi czyn godzien oświeconego wieku. Posłałem o tem sztafetę do Warszawy.

Gozdski. Tem nie zyskałeś u mnie łaski Kasztelanicu.

Służący (*anonsując*). Pani Podkomorzyna Żydaczewska.

SCENA IV.

Ciż i Podkomorzyna.

Podkomorzyna (*wpadając*). Bez tchu wpadam doprawdy. Dzień dobry Wojewodzino. Gdzież ona?

Wojewodzina. Kto?

Podkomorzyna. Starościna Kaniowska.

Wojewodzina. Tyle wiem o niej co i W. pani.

Podkomorzyna. Co mówisz Wojewodzino? Więc to w sekrecie przed macochą? (*grożąc Gozdskiemu*). Oj rotmistrzu! Okrzyczana piękność podobno. I po co to takiemu niedźwiedziowi było brać żonę? Rózgami ją ćwiczył podobno?

Wojewodzina. Wypocznij pani Podkomorzyno.

Podkomorzyna. Do czego dojdzie, do czego dojdzie Podobno w jednej koszuli ją porwałeś i tak wsadziłeś na

konia. Biedaczka! Jakże ona ci musi być wdzięczną, rotmistrzu? Wojewody nie widzę, podobno znów gorzej.

Wojewodzina. Owszem, ma się lepiej.

Podkomorzyna. Bogu dzięki. Podobnoś mu kozaków jego porąbał na kapustę. A cóż to za okrótnik. Podobno trzech szlachty kazał utopić w smole? *(wnoszą Wojewodę w dużem krześle. Starzec schorowany, mocno otyły).*

SCENA V.

Ciż i Wojewoda *później* **Goście.**

Wojewoda. Rączki całuję pani Podkomorzynie. Witam cię Kasztelanicu.

Podkomorzyna. Jak się ma podagra? Wyglądasz Wojewodo jak róża. Twarz pełna czerstwości i zdrowia.

Wojewoda. Bo ja też na twarz nie choruję. Dzień dobry Tekluniu. Aśćka mi coś zmizerniała i podalterowana trochę.

Wojewodzina. Całą noc dziś oka nie zmróżyłam.

Wojewoda. No, już tym razem mu przebacz aniołku ze względu na tak piękną zdobycz.

Wojewodzina. Piękna w istocie. Komuś żonę porwać...

Kasztelanic. Staroście Kaniowskiemu, Wojewodzino.

Wojewodzina. Choćby sułtanowi tureckiemu.

Wojewoda. Udobruchasz się aniołku *(do pachołka).* Podstaw dobrze pod nogi. *(do Gozdskiego).* No mój Józiu, pokażże nam swoją Helenę.

Podkomorzyna. Helena jej na imię?

Gozdski. Wraz z Karlusią tu nadejdzie. Strudzona nieboga podróżą trochę.

Podkomorzyna. Biedny kopciuszek. Córka jakiegoś karbowego podobno? Będziemy mieli pociechę.

Gozdski. Kto wie. Rozprawiacie W. państwo szeroko o owym wielkim polorze świata, o świetnym wykształceniu umysłu i serca, o owych pięknych manierach,

które dają tylko wysokie urodzenie i bogactwo. Zobaczycie córkę biednego szlachcica, ekonoma pana Starosty. Delikatnego obejścia i szlachetnych popędów serca może jej pozazdrościć każda z wysoko urodzonych, a pięknością przewyższa nie jedną. Nie dziwię się wcale panu Staroście, że ten kwiatek uszczknął na jednym z swych folwarków, dowodzi to konesera i znawcy, tylko, że go uszanować nie umiał.

Wojewoda. Dla tego mu ją zabrałeś. Tylko mój rycerzu nie obliczyłeś się waszeć z siłami. Cóż będzie jak mu ją oddać przyjdzie?

Gozdski. Do tego jeszcze daleko. Miałżebym mu na to porywać tę ofiarę, aby jej przez to większą niedolę zgotować? Dopóki sam na klęczkach nie przyjdzie prosić o nią i nie przyrzeknie szanować, dopóty mu jej nie oddam. Dla takiej sprawy przecie warto nadstawić gardło?

Wojewoda. Niema co mówić, pobudki tak piękne że tylko aśći powinszować mogę i gdyby nie moja pedogra, to bym ci sukursował.

Gozdski (*całując go w rękę*). Mam twoją aprobatę ojcze, to mi wystarcza (*coraz więcej gości przybywa*).

Wojewoda. Witam kochanego cześnika! Walicie jak na odpust, żeby ładnego buziaka zobaczyć. Jak się miewasz panie Jakubie? Patrzaj co ci młodzi nam wyrabiają. Pamiętasz ową Kostusię... (*rozmowa po cichu, śmiech od czasu do czasu Wojewody*).

Podkomorzyna. Nie skończy się ta sprawa na śmiechu Wojewodzino. Rotmistrz rozgorzał dla tej Jejmości, a pan Kaniowski przecie nieda sobie grać na nosie.

Wojewodzina. Niechby raz mu rogów przytarł.

Podkomorzyna. Zanadtoś mu zawsze pobłażała Wojewodzino.

Kasztelanic (*do Gozdskiego, który mu żywo opowiada*). Lękam się, że wybawiając z niewoli Starościnę, tyś się w jej niewolę zaciągnął. (*wchodzi Karolina, prowadząc za rękę Starościnę*).

SCENA VI.

Ciż Karolina, Starościna.

Karolina (*przedstawiając*). Pani Starościna Kaniowska, która raczyła przyjąć przytułek pod naszym dachem

Wojewoda. Przebaczyć racz Starościno dobrodziejko, że stary pedogryk nie pośpieszam, aby ci ucałować rączki. Przygwożdżony jestem do stołka. (*prezentując*). Moja żona, która, jak my wszyscy, żywo przejęta jest twojem nieszczęściem.

Wojewodzina. (*lekko głową skinąwszy*). Bardzo mi miło.

Wojewoda. Pani Podkomorzyna Żydaczewska. Przezacni sąsiedzi i przyjaciele domu mojego.

Starościna. Smutne położenie moje znane zapewne dostatecznie czcigodnym państwu, abym miała doń jeszcze własne dodawać opowiadania. Wyręczył mnie w tem zapewnie pan rotmistrz, sprawca obecnej mej doli, dodam tylko, żem niezapragnęła nigdy zmiany mego losu. Zgadzałam się z przeznaczeniem, jakie mi z wyroków bożych padło, gdy właśnie toż przeznaczenie, boć inaczej tego nazwać nie mogę, zsyła w mej biedzie pana rotmistrza, który mnie gwałtem od małżonka mego uprowadza i umieszcza pod waszym dachem. Wiem, że uprowadzając mnie, pan rotmistrz nie polepszył, ale raczej pogorszył położenie moje, mimo tego jestem mu serdecznie wdzięczna, bo mi dał sposobność poznania was, szlachetni państwo i przekonania się o gotowości waszego poświęcenia dla biednej ofiary. Gdyby jednak najmniejsza przykrość z mego powodu dotknąć was mogła, niedarowałabym sobie tego nigdy.

Wojewoda (*podnosząc się*). Do kata, rotmistrzu, zazdroszczę ci takiej pupilli. Skromną, a piękną wymową swoją kogoż by nie ujęła? A cóż to za tyran i okrótnik, kiedy takiego skarbu ocenić nie umiał. Nie lękaj się pani Starościno Kaniowska, wszelką przykrość, a chociażby nawet guzy od twojego małżonka, przyjmujemy z ochotą dla ciebie. Ktokolwiek pod mym dachem zagościł, włos mu

z głowy nie spadnie. Więc bądź spokojną i bezpieczną. Nauka dana panu Staroście w las nie pójdzie.

Wojewodzina. Mnie zaś wcale nieprzekonały wywody pani Starościny. W moich oczach zasłużyłaby się więcej, gdyby odtrąciła zbyt śmiałego natrętnika, jakim był rotmistrz i skłoniła go, aby dom starosty opuścił, zostawiając ją obowiązkom, jakie zaciągnęła względem swego męża i pana.

Wojewoda. Zbyt surowaś aniołku.

Podkomorzyna. *(n. s.)* Hm, wiem co się święci.

Wojewodzina. Być może. Tak pojmuję obowiązki i na krok od mego zdania nie odstąpię.

Starościna. Masz słuszność pani i jam nigdy nie pomyślała, aby tym obowiązkom uchybić, porwano mnie gwałtem i przemocą. Zbłądziłam przygnębiona cierpieniem i tę chwilę słabości odpokutuję srodze.

Gozdski. Nic nie odpokutujesz pani Starościno. Łacno mojej macosze prawić o obowązkach i posłuszeństwie mężowi, gdy ją otacza cześć i szacunek najzacniejszego z ludzi, jakim jest mój kochany ojciec, ale tam gdzie bezrozumne, bydlęce żądze nieumieją poszanować tego, co każdy z jego najniższych pachołków zwykł poważać, kiedy cześć i honor niewiasty poświęca pierwszemu lepszemu przechodniowi, którego na drodze spotka, taki nie wart tego skarbu, jakim przyroda darzy uczciwych ludzi i takiemu, kosztem mojego życia, ten skarb wydrę!

Wszyscy. Górą rotmistrz! Brawo!

Gozdski. Niech więc mateczka tą razą przebaczy, że w zgodzie z nią nie będę, i świętym jej maxymom o obowiązkach żony względem męża, o ile one dotyczą pana Starosty Kaniowskiego i jego małżonki, tu obecnej, stawię weto.

Wojewodzina. Doskonale! Przyzwyczajonam znosić jego wybryki i zuchwałe ku mnie wycieczki, lecz tym razem dłużej ich cierpieć nie będę. *(odchodzi śpiesznie).*

Wojewoda. Nie alteruj się aniołku! *(do Gozdskiego).*

Cóżeś narobił chłopcze. (*do pachołków*). Nieścież mię błazny, cóż stoicie? Tekluniu! Tekluniu! (*odnoszą go szybko*).

Kasztelanic. Ot przeciwieństwa, jakby na pokaz.

Podkomorzyna. Mnie się zdaje, że i tu wypadałoby jedno z nich porwać.

Kasztelanic. Wojewodę? bah! to nie tak łatwo.

Karolina. Uspokój się Starościno.

Starościna. (*płacząc*). Panie rotmistrzu, ileż ja ci przykrości zadałam.

Gozdski. Jam z niemi otrzaskany, Starościno. A myślę żeś i pani odgadła kto tu jest tyranem, drugim Starostą Kaniowskim w spódnicy.

Karolina. Braciszku, co też ty wygadujesz?

Gozdski. Alboż szanowni sąsiedzi nasi nie wiedzą jak kto siedzi? Przecież przed niemi nie będę robił sekretu. Mój biedny ojciec już tu innym powróci.

Podkomorzyna. (*n. s.*) Zazdrość! co to za brzydka namiętność!—(*służący wchodzi*).

Służący. Jakiś stary szlachcic zalterowany bardzo, żąda wejść tutaj—nazywa się Dąbrowski.

Starościna. To mój ojciec!

Gozdski. Proś go.

Starościna. Cóż usłyszę? (*Służący wprowadza Dąbrowskiego*),

SCENA VII.

Gozdski, Goście, Starościna, Dąbrowski.

Dąbrowski. Tyś tu, wyrodna córko, a tam ojciec i chora matka wygnani z pod dachu i obici przez kozaków pana Starosty. I jakieś ty sumienie miała uciekać z tym zawadjaką?

Gozdski. Mospanie Dąbrowski!

Kasztelanic. Bah, tu się na nową komedyę zanosi.

Podkomorzyna. To będzie drugi Brutus.

Dąbrowski. Niegodziwe dziecko! Zapomniałaś przestróg ojcowskich, zapomniałaś słów matki i dla chwilowej

słabości poświęciłaś ich spokój i mienie całe. Gdzież znajdziem przytułek na stare lata nasze.

Gozdski. Posłuchaj mnie panie Dąbrowski.

Dąbrowski. I cóż mi powiesz, paniczu? i wy wszyscy coście tu zjechali jakby na komedję jaką? Bawicie się głupotą i słabością tej gęsi, co nie miała względu na stare lata swojego ojca.

Starościna. Ojcze, przebaczenia!

Dąbrowski Do męża wracaj niegodziwa, bo tu się krew przeleje przez ciebie. Starosta ciągnie na czele swojej milicyi i szlachty, prowadząc z sobą armaty, Kamień na kamieniu nie zostanie z tego domostwa, a pierwszą ofiarą padnie tu mój łeb siwy.

Starościna. Ojcze, litości!

Gozdski. Hola starcze! Przepędzę twego pana Starostę gdzie pieprz rośnie i żony mu nie wydam i ciebie schowam tak, że cię sam djabeł nie znajdzie. Tyś widzę podobny do niego—jaki pan, taki kram. Oddałeś mu dziecko na pastwę, jak jagnie wilkowi—a gdy biedna ofiara pochwyciła łódkę zbawienia, przychodzisz tu naigrawać się z niej i grozisz sroższą niewolą.

Dąbrowski. Dalej panie, dalej. Znieważaj ojca w obec dziecka. Wam wszystko wolno. Powiadasz że mu oddałem moją córkę na pastwę. Wolałbym ją był utopić. Sam ją wziął, tak jak ty ją wziąłeś przemocą. Czy wy się pytacie o to, czy tam czyje serce pęknie pod stopą waszą. Niech giną! Niech płaczą! Pan się bawi, to dosyć. A do czegoż biedacy stworzeni, jeżeli nie do zabawy pańskiej? Cóż mi odpowiesz na to? Będziecie się bić, rąbać, gonić, palić, a biedacy płakać będą pomordowanych mężów, dzieci, wnuków.

Gozdski. Starcze, wiele w tej goryczy twojej tkwi prawdy, alem ja się dotąd nie splamił tem wszystkiem i nigdy w życiu mojem nie splamię. Byłem świadkiem nieludzkiego obejścia się pana Starosty z twoją córką i postanowiłem go ukarać.

Dąbrowski. Czemużeś tego nie spełnił Panie bez

narażenia jej i nas wszystkich. Nie—chciałeś go ośmieszyć, chciałeś mu sztukę wypłatać, jak się w waszym języku nazywa, i wypłatałeś pogłębiwszy w otchłań nieszczęścia nas wszystkich.

Gozdski. Nie—do tysiąc djabłów, tak źle nie będzie. Kogo ja wezmę w opiekę ten na mnie płakać nie będzie. Majątek który wam wydarł Kaniowski ja wrócę, a przed jego uciskiem zasłonię. Gdy się ukorzy i przeprosi, żonę mu oddam. Satis! powiedziałem i od tego na włos nie odstąpię.

Dąbrowski. On się przed Bogiem nie ukorzy nie dopieroż przed tobą, panie Rotmistrzu. Napraw złe któreś zdziałał ze szlachetnych pobudek, chcę w to wierzyć, ale nieopatrznie bo... (*słychać wystrzały*) No, teraz już tu co innego rozstrzygać będzie. (*Komendant wchodzi*).

Komendant. Szlachta i kozacy zbliżyli się pod zamek—szturmują do bramy i chcą ją wysadzić. Pan Starosta stanął pod tym oknem z harmatą.

Podkomorzyna. Matko najświętsza! to podobnoć tu się na tragedyi skończy.

Gozdski (*do Komendanta*). Nie strasz mi gości warjacie. Gdzie powiadasz stanął pan Starosta, pod tem oknem? Toć się wpierw przywitamy i rozmówimy. Idź aść i pilnuj swego jak zleciłem. Niech wali do murów a wy czekajcie dalszych moich rozkazów (*Komendant odchodzi*).

Dąbrowski. Rozmawiaj z nim panie ile ci się podoba, a my tymczasem wyjdziemy. Pójdź córko.

Gozdski. A którędyż panie Dąbrowski? Straż nie wypuści nikogo z zamku.

Dąbrowski. Toć jeszcze mam szablę przy boku. (*uderza się po karabeli*).

Gozdski. Ani kroku starcze! Jeżeli wierzysz moim słowom że działam z szlachetnych pobudek, toż polegaj że ci krzywdy zrobić więcej nie pozwolę.

Kasztelanic. My wszyscy za tobą panie Dąbrowski, sprawa Rotmistrza naszą sprawą.

Wszyscy. Tak! tak!

Dąbrowski. Dziej się wola Boża.

Gozdski. (*otwiera okno, wszyscy się cofają*) Czego chcesz panie Starosto?

Starosta (*za sceną*). Smyku! oddaj mi żonę bo ci spalę chałupę, a ciebie upiekę jak wieprza.

Gozdski. Nie oddam, boś jej nie wart. Gdy mi spalisz Jaryczew, to ja tobie spalę wszystkie wsie i miasteczka.

Starosta. (*j. w.*) Wal! (*wystrzał*).

Gozdski. Eh! twoja armata dobra do rozbijania żydowskich kucek. (*wpada Marcin*).

Marcin. JW. panie — pozwól mi wylecić z zamku i odebrać tę pukawkę panu Staroście.

Gozdski. Masz szczęśliwą rękę. Pójdziesz, ale ze mną (*do okna*). Nie żałuj prochu Starosto, popukaj. Kasztelanie, zostawiam cię moim gościom a sam idę poskromić tego burczymuchę (*wychodzi z Marcinem*).

Kasztelanic. Homeryczne nam czasy wracają. (*idzie ku oknu — przez cały ten czas strzały i okrzyki za sceną*).

Dąbrowski. Bogdajby były już ostatniemi. Biedne dziecko moje, kiedy pomyślę jak strasznym będzie twój powrót do domu tego okrutnika, to wolałbym cię widzieć w jednej koszuli i o żebraczym kiju iść z tobą na kraj świata.

Starościna. Nie myśl o mnie mój ojcze—zbłądziłam i odpokutuję. Aleć i nie potępiaj mnie więcej. Trudnoż mieć za złe ciemiężonemu, że zapragnął chwili wypoczynku, gdy się ona nadarza, choćby ją potem większym jeszcze uciskiem przypłacić musiał.

Kasztelanic. (*w oknie*) Na Boga! tam Rotmistrz cudów dokazuje. Patrzcie: zatopił mu te dwie armatki. Pan Starosta rejteruje! No, wygrana nasza! (*Wnoszą Wojewodę—za nim wchodzi Wojewodzina*).

SCENA VIII.

Dąbrowski, Starościna, Goście, Wojewoda, Wojewodzina, później Gozdski.

Wojewoda. (*do służby*). Niech zaprzestaną tej pukaniny! Wywiesić białą chorągiew pani starościno, jakkolwiek miłymby nam był twoj pobyt w naszym domu, jednakże pogwałcać praw twego małżonka nie możemy. Jesteś pani wolną.

Dąbrowski. Dajcie uczuć synowi całą wagę waszego gniewu, panie Wojewodo, aby w przyszłości nie za chciało mu się mięszać do spraw cudzych i sprowadzać nieszczęścia na niewinne głowy.

Wojewoda. Kto jest ten człowiek?

Dąbrowski. Ojciec pokrzywdzonej kobiety.

Gozdski. (*za sceną*) Wracaj do Buczacza panie Starosto

Starosta. (*za sceną*) Pierw cię trupem położę, (*pada strzał — słychać głosy „Ratunku, pan Rotmistrz raniony.“ Starościna wydaje okrzyk i pada na fotel*).

Wojewodzina. Byłam tego pewną—kocha go!

Dąbrowski. Dziecko moje!

Wojewoda. Przeklęta sprawa! Syn mój! (*do pachołków*) Nieścież mnie błażny—żywo! (*wchodzi Gozdski podpierany przez Marcina*).

Gozdski. Nie trzeba mój ojcze. Lekki postrzał — za parę dni zdrów będę!

Kasztelanic. Oj, żałowali cię tu Rotmistrzu! (*wskazuje na pół zemdloną Starościnę*).

Wojewoda. Wracaj do męża pani Starościno, niech mi nie szczerbi murów zamczyska i nie kaleczy ludzi (*do syna*). A tobie, pod błogosławieństwem zakazuję mieszać się więcej w tę sprawę.

Cozdski. Cóż to ojcze, wypędzasz z pod twego dachu nieszczęśliwą i cały mój trud i krew przelaną za nic ważysz?

Wojewoda. Tak chcę!

Podkomorzyna (*n. s.*)—moja żona — czemu nie dodał.

Gozdski. Po cożem tu powrócił — raczej zginąć od kuli rozbójnika Kaniowskiego aniżeli ten wstyd dźwigać. (*chce odejść—Starościna rzuca się przed nim na kolana*).

Starościna. Oh, błagam was panie, pozwólcie mi odejść w spokoju. A za waszą szlachetną gotowość poświęcenia i cześć dla niewiast, przyjmcie ten uścisk ręki. Modlić się będę za szczęście wasze.

Podkomorzyna. Ciekawam jak się to skończy.

(*Kurtyna spada*).

AKT IV.

W Buczackim dworze, pokój Starościny w gotyckim stylu, drzwi w głębi i po bokach. Stolik z prawej, przy którym Starościna, siedzi smutna i przygnębiona.

SCENA I.

Starościna, Krzysia.

Krzysia. Jejmościulku! Czy pani zawsze taka smutna i zadumana?

Starościna. Zawsze.

Krzysia. To ja tu niedługo wybędę. Ja lubię śmiać się i pustować. W Warszawie dobijano się o mnie. Nazywano mnie *la Reine des souberettes* (*wymawia źle po francuzku*). Niepotrzebnie pan Starosta tyle trudu poniósł aby mnie tu sprowadzić od pani krajczyni.

Starościna. Możesz aspanna wracać.

Krzysia. Mogę! Kiedy mnie pan Starosta nie puści, zobowiązałam się do usług Jejmości, aby z niej zrobić *une Dame du monde*, i to będzie *mon ambition, mon orgniil.* Czy pani nie raczy się ubrać?

Starościna. Nie.

Krzysia. To pani robi *très mal:* W toalecie cała kobiety *amunicya*, cała jej armia, jak mawiała pani Szambelanowa. Widzę ja dobrze co się tu święci. Jegomość jest tyranem a Jejmość spokojnie dała głowę pod jarzmo Pierwszy to dom w Rzeczypospolitej, gdzie widzę panią ulegającą kaprysom męża. Toż by się świat do góry no-

gami przewrócił. Ale niechno ja tu pobędę, zobaczy Jejmość jak koło nas tańczyć będzie.

Starościna. Tego nie pragnę wcale.

Krzysia. Nie wierzę. Którażby z nas panować nie chciała. Inna tu się kryje raison. A czyżby?.. No już rozumiem... serduszko innym zajęte.

Starościna. Mościa panno!

Krzysia. Niech się pani nie gniewa. Źle byłoby, gdyby było inaczej. Nie obawiajcie się, jam dyskretniejsza od spowiednika. Ja Jejmości nie zdradzę, a pomódz mogę. Ja służyłam całe życie moim paniom, a nie ich mężom. Widziałam już różne maryaże i gdybym zaczęła Jejmości pani opowiadać...

Starościna. Nie chcę o niczem słyszeć, zuchwała. Pełń powinność swoją i przestań w ten sposób odzywać się do mnie.

Krzysia (*n. s.*) Czyżbym się omyliła? Nie płacze. Tu musi być afekt szczery i głęboki (*głośno*). Jejmościulku! Pani Starościno! Bóg mnie skarz, jeżelim nie jest szczerą i wiernie wam oddaną. Co mnie tam obchodzi wasz tyran choć mi płaci dobrze i przyrzeka złote góry, takiej służby ja wszędzie dostanę, bylem palcem kiwnęła. Mnie żal gdy widzę waszą smutną i zapłakaną twarzyczkę. Dowiedziałam ja się już wszystkiego od ludzi. Ci jego kozacy tacy straszni, że i nie przystępuj do nich bez pałasza, na moje skinienie, na mój uśmiech i figiel rozwiązali gęby i na nitce ich poprowadzić mogę. Wiem, że panią porwał pan Gozdski. Wiem, że cię wydała jego niegodziwa macocha przez zazdrość, bo sama w pięknym chłopcu rozkochana. A wiem i to, że Gozdski nie puścił sprawy, i prędzej czy później będziesz pani do niego należeć.

Starościna. Nigdy!

Krzysia. To się tak mówi. Chcesz życie całe przepłakać przy tym dyable weneckim, kiedy tu młodość i fortuna i raj cię czeka z człowiekiem, który cię kocha, który życie dla ciebie niesie w ofierze.

Starościna. Zamilcz szalona. Czy wiesz jakie więzy mnie krępują? Dola moja związana ściśle z dolą moich biednych rodziców. A potem, ja mu przysięgłam przed ołtarzem i ślubów moich nie złamię, aż do grobu.

Krzysia, Ot, to, to! Staroświeckie maxymy, jak powiada pani Szambelanowa. Takie śluby dziś się rozwiązują byle pobrzęknąć złotem. Czeka was dola i rodziców waszych taka, że wam zazdrościć będą. Głupi niedźwiedź radby was dzisiaj w złoto oprawić, bo poznał się przecie jaki skarb posiada. Zwozi wam piękne suknie, brylanty, klejnoty, hatłasy... i mnie tu ściągnął na swoje utrapienie... Tak, na utrapienie, bo ja wam pomagać będę, nie jemu.

Starościna. I na co twa pomoc? Do czego? Uroiłaś sobie w głowie niewiedzieć jakie brednie.

Krzysia. Zobaczemy, a teraz Jejmość się ubierz tak żeby oczy olśnić temu odyńcowi. Niech klęka przed wami jak przed świętą, a my tymczasem będziemy robić swoje i przemyśliwać jakby frunąć z tej klatki.

Starościna. Szalejesz dziewczyno!

Krzysia. Tak, zwijcie mnie szaloną, głupią, waryatką, jak wam się podoba, ale nie gniewajcie się na mnie i nie wypędzajcie od siebie (*wchodzi Soroka prowadząc za sobą Marcina, przebranego za Węgra olejkarza*).

SCENA II.

Starościna, Krzysia, Marcin, Soroka.

Soroka. Pan Starosta przyseła Jejmości Węgra olejkarza. Czy Jejmość nie kupi co od niego? Skazał szczo ma dobre mastyki.

Krzysia. Węgier? A nam co po nim. Cóż ty masz?

Marcin. Wszystko sem moja prześliczna pannieczko: Weszeckie mydło, olejek na włosy, pierścionki, manele, pończoszki, różne blanszy:

Krzysia. Ano, może co z tego i wybierzemy: Jaki masz blansz?

Marcin. Prawdziwy sem paryżki.

Krzysia. Z marymontu?

Marcin. Bóg uchowaj. Ot, na nim stępel (*zbliża się do Starościny*). Jejmościunia sem niech popatrzy.

Krzysia. Możeby pan Soroka kupił sobie do wąsów makasaru. Czuć go fajką o pół mili.

Soroka. To i szczo by mi z tego?

Krzysia. Możnaby bliżej z nim porozmawiać.

Soroka. I za ruczku uścisnąć (*bierze jej rękę rozmawiają*).

Marcin. Weźcie sem Jejmościulku, to te pudełko ja tanio przedam.

Starościna. Co mi potem.

Marcin (*cicho i prędko*) Weź pani, znajdziesz tam cóś więcej.

Starościna. Co?

Marcin. (*cicho*) Milczenie! (*głośno*) Za dwa złote oddam Jejmości.

Starościna (*bierze otwiera i wyjmuje karteczkę, po przeczytaniu*) Nigdy! nieszczęśliwy oddal się, bo gdyby cię poznano...

Marcin. Jam zrezygnowany na to pani Starościno, jeżeli odepchniecie naszą pomoc to ja sam się oddam w ręce starosty bo przyrzekłem Rotmistrzowi, że was nakłonię do ucieczki.

Starościna. Nigdy, powtarzam. Powiedz panu Rotmistrzowi, że go błagam, aby zapomniał o mnie. Powiedz mu, że czuję dlań wdzięczność dozgonną i szacunek, ale tem czem mnie losy zrobiły pozostanę do śmierci.

Marcin. Niemyślcie tak pani. Nieznacie mojego pana on minami zamek ten wysadzić zdolny.

Starościna. Dobrze, ale i mnie z nim razem. Dosyć tego!... Powiedziałam i nie odstąpię. Szczęście moje i moich rodziców zależy od tego.

Marcin. A unieszczęśliwić chcecie człowieka który was miłuje nad wszystko i nie przeżyje tego ciosu. Bo ja go znam, życie swoje na hazard poniesie.

Starościna. Cicho! zamilcz szalony.

Soroka. Panna Krystyna mnie zwodzi.

Krzysia. Ja? Boże uchowaj.

Soroka. Wy filutki wielkie z Warszawy. Do każdowo ząbki pokazuje.

Krzysia. A pan Soroka by chciał żebyśmy oczy spuszczały i były skromne jak benedyktynki?

Soroka. Tego by ja nie chciał, ja lubię jak wesoło, a teper u nas lepiej.

Krzysia. I będzie coraz lepiej!

Soroka. Nasz pan Starosta poweselał i na Jejmość już się nie gniewa.

Marcin (*do Krzysi*) Paniczka sem nie kupią nic u mnie?

Krzysia. U nas wszystko z Paryża — idź sobie do szlachcianek.

Soroka. A jabym pannie Krystynie ofiarował jaki ładny prezent żeby Jejmość pozwoliła.

Starościna. Pozwalam mój Soroko.

Soroka. Niech panna Krystyna wybierze. Szczo wola.

Marcin. Marele łańcuszki, pierścionki, olejek, pończoszki ładne na małą nóżkę paniczki.

Soroka. Panno Krystyno, nie żałujcie proszę mej kabzy.

Krzysia. A gdzieżbym ja śmiała nadużywać łaski asana dobrodzieja. Proszę o szpilkę.

Soroka. Jak nie weźmiecie to ja cały ten kramik wraz z Węgrem wrzucę do sadzawki.

Marcin. Bierzcie paniczko miła na Boga.

Starościna. Krzysiu nie urażaj Soroki.

Soroka (*biorąc Marcina za gardło*) Wrzucę! prysiagaju!

Krzysia. Jak pani Starościna każe to wezmę te pończoszki.

Soroka. I pierścioneczek panno Krystyno.

Krzysia. Hola jeszcze do zaręczyn daleko.

Soroka. Nie daleko panno Krystyno i jeżeli Jejmość pozwoli...

Starościna. Ależ zezwalam.

Krzysia. Ale ja nie pozwolę. U nas w Warszawie nie po kozacku idzie. Zasłużyć wprzódy.

Soroka. Długo?

Krzysia Rok i sześć niedziel.

Soroka. Ja uschnę. Djabli nadali. Niewiem czy czary? Jakem zobaczył pierwszy raz pannę Krystynę to mi tak dobrze sie zrobiło. Proszę pokornie jejmości...

Starościna. Bądź dobrej myśli— Krzysia nie zna cię jak ja. Wstawię się do niej za tobą.

Soroka. Stópki całuje. A taki ja pierścionek kupię i panna Krystyna przyjąć musi. Chodź Madziar poprobujem sia w kielichy na uciechu. (*odchodzą*).

Starościna. Drzę cała. Biegnij i pilnuj tego człowieka żeby go nie poznali. To wysłannik Gozdskiego.

Krzysia (*klasnąwszy w dłonie*) Ten Madziar? Oh l'amour l'amour! Żem ja też tego nie odgadła.

Starościna. Śpiesz! (*Krzysia wybiega*). Wywalczyć chcę szacunek dla siebie i wywalczę. Jestem Starościną Kaniowską z nazwiska tylko, teraz będę nią z czynów moich. Pierzchajcie marzenia słodkie, (*drze bilet Gozdskiego*). Twardy obowiązek mnie czeka i spełnie go choćby kosztem życia mojego.

Krzysia (*wraca*). Madziar za wałami zamku. Wywinął się szczęśliwie.

Starościna (*wstając*). Dość o nim. Słuchaj Krzysiu Użyj dziś całej twojej sztuki. Chcę być piękną, zalotną czarującą. Chcę być wielką panią, świadomą mego każdego kroku i poruszenia. Chcę być dumną i nieugiętą. Chcę imponować, jak królowa, aby przedemną zginano czoła, aby spełniano moje rozkazy. Aby na jedno moje skinienie, na mój jeden uśmiech łaskawy, uczuwano gotowość skoczenia w ogień lub w wodę. Chcę być tem wszystkiem... i będę.

Krzysia (*z podziwem*). Już jesteście pani Starościno. Ktoby was widział taką, padłby w tej chwili na kolana jak ja padam. Cóż to za przemiana u was nagła. Mówiłam, że amor was w swe sieci oplątał. O moja złota pa-

ni! Proszę do gotowalni, przyrządziłam pani ubiór à la Dubarry: suknia niebieska w srebrne kwiaty, koronki. Ufryzuję panią à la Epinay, pończoszki, trzewiczki prosto z Paryża. Parę muszek na buzi dla dodania twarzyczce beauté du diable, jak mówi pani Szambelanowa *(słychać kroki)*. To on, słyszę kroki (*uchyla drzwi z prawej).* On! z twoim ojcem pani.

Starościna. Dalej do walki *(odchodzą szybko na lewo. Z prawej wchodzi Starosta uzbrojony w pistolety z harapem w ręku, podpiły. Za nim Dąbrowski. Kozak na tacy wnosi puchary i wino).*

SCENA III.

Starosta, Dąbrowski.

Starosta. Hej Kasiu! chodź tu do mnie!

Krzysia. *(uchyla drzwi, pokazując głowę)*. Jaśnie pani robi toaletę.

Starosta. Powiedz niech się śpieszy.

Krzysia. Tego ja nie powiem, wszelki pośpiech zepsułby całe arrangement. Niech J. W. pan raczy być cierpliwym.

Starosta. Cierpliwym, ty fertyczna sroko? To tam w Warszawie u was mężowie stoją podedrzwiami, jak lokaje i patrzą przez dziurkę do klucza. Chciałabyś mi tu wasz obyczaj wprowadzić, a może i słodkie bileciki przekradać dla Jejmości, jak tam to u was w modzie?

Krzysia. Eh, u nas w modzie jest przedewszystkiem to, że się szanuje i czci płeć białą, a kto tego nie potrafi, temu nie pomogą zamki i rygle. U nas serc się niezdobywa armatami ani groźbą. Tkliwym, cierpliwym i dobrym być trzeba. Ale pani Starościna mnie woła (*wybiega*).

Starosta. Słyszałeś tę sekutnicę? A to ładnego dyabła sprowadziłem dla Kasi.

Dąbrowski. Ano, z wielkiego świata chcieliście panny służącej, jakby to ich u nas brakło.

Starosta. Głupiś waszeć, choćeś mym teściem. Żadna Franka ani Antośka nie potrafi mi ubrać żony tak, jak teraz moda każe. Jeżeli ją mam pokazywać po świecie, jako panią Starościnę Kaniowską, toć nie mogę wozić czupiradła.

Dąbrowski. Albo to nasze szlachcianki czupiradła? Alboście to czupiradło wzięli z pod mojego dachu? Dziewczę świeciło urodą i skromnością, a dziś zafukana przez was.

Starosta. Cicho stary! Mądra niewiasta pani Wojewodzina bracławska, wypisała mi tu w liście cały katechizm małżeński.

Dąbrowski. Co to po tem. Po staremu kochać żonę i szanować, a bez takiego katechizmu obejść się można.

Starosta. Ot, znowuś głupstwo wypowiedział teściu, teraz inaczej idzie na świecie. Mądra niewiasta. Nie myślałem nigdy, że w oblężonym przezemnie zamku Wojewody znajdę w jego żonie taką serdeczną przyjaciółkę. Słuchaj waszeć (*dobywa list i czyta*). Rejestr sposobów, jakiemi można zmusić do uległości i posłuszeństwa a razem zapalić gorącym afektem serce każdej niewiasty: 1-o. Zgadzać się z nią we wszystkiem, a zrobić to co się podoba. Jezuicka praktyka, ale dobra. Jejmość tak... i ja tak. Nie, i ja nie! Ale, ale Jejmość chce do sasa, a ja jadę do lasa. 2-o. Stroić ją pięknie. Na frauncymer nie żałować. Fatałaszków pudła całe z Warszawy zwozić. Niech przed zwierciadłem po całych dniach siedzi i patrzy, a służba niech się przed nią uwija. (*mówi*). Mądra baba! 3-o. Wysławiać pod niebiosy jej wdzięki. Nauczyć się pięknych komplimentów z książki pana de Bignoli, które przetłómaczone przesyłam J. W. panu, a te są w krótkości: Moja bogini! oczy twoje jak dwa karbunkuły przecudnem światłem gorej ą. Usta, to dwie róże najrozkoszniejsze, a twój uśmiech“! (*mówi*). Tfu! takich banialuk nigdybym Kasi powiedzieć nie umiał. (*nalewa dwa puchary*). *Do ciebie teściu! (czyta)*. 4-to. Nie okazać nigdy zazdrości, choćby się miało w ręku dowody jej prze-

winy, ale wytropiwszy zalotnika ułatwić się z nim krótko i węzłowato!“ (*mówi*). Krótko a węzłowato! Jak go dostanę w ręce, ze świętą Trójcą się obaczy. (*nalewa*). Coś twój kieliszek nie próżny teściu? pij! (*Dąbrowski podczas gdy Starosta czyta, wylewa kielich poza siebie*).

Starosta (*czyta*). 5-to. „Nie więzić i zamykać, ale dać swobodę nieograniczoną“, (*mówi*). Ten paragraf mi się nie zdaje, bo nuż Jejmość swobody używać zechce i Gozdski znów ją capnie?

Dąbrowski. Albo ona gęś, żeby się capnąć dała?

Starosta. Była gęsią, aleć to moja wina. Dziś zrobię z niej Starościnę Potocką całą gębą, i temu wiercipięcie będę pod nosem z nią przejeżdżał, niech się wścieka i ślinkę połyka.

Dąbrowski. Już on teraz po tej nauczce głowy nie wyściubi. Popamięta ruski miesiąc.

Starosta. Słyszę, że się wylizał i po dawnemu broi, ale niech go dostanę (*nalewa kielichy*).

Dąbrowski. Starosto! na kolanach was błagam, pofolgujcie mej starej głowie, nie mogę.

Starosta. Czy mam zawołać Soroki, ażeby pomógł waści, mój teściu? Pij! Dziś dla mnie dzień uroczysty. Dziś rocznica naszego wesela. Dziś moja Kasia jak gdyby nową, piękniejszą i lepszą mi się wydaje. A tobie daruję Jezierszczyznę. Pij teściu!

Dąbrowski. Łaska wasza starosto do łez mnie rozczula, ależ dajcież staremu folgi.

Starosta. Robię cię ogólnym administratorem moich dóbr Zbarażkich. Pilnuj zięciowych dobytków. Dobytków twoich wnuków, bo Kasia da mi syna. Zdrowie waszeci! A nie wylewaj mi wina poza kołnierz, bo ci z zasług wytrącę.

Dąbrowski (*wstając*). Ah, gdyby ją tu raz Pan Bóg zesłał na obronę moją (*chce iść*).

Starosta. Gdzie?

Dąbrowski. Do Kasi, żeby się pospieszyła.

Starosta. Siedź aść! Do gotowalni pani Starościny

wchodzić nikomu nie wolno. Ktoby ją przestąpił, swój łeb na progu zostawi.

Dąbrowski *(n. s.)* Wszyscy święci miejcie mnie w opiece naszej.

Starosta. Pij stary grzybie, bo ci do gardła lać każę. Soroka!

Dąbrowski. Spełniam wasze przezacne zdrowie! *(na str.)* Co to będzie, co to będzie? *(wchodzi Soroka).*

Starosta *(do Soroki).* U mene cholera rozbierajut, kak prikażę. Bieryt mene pid wartu! tak biery!

Soroka. Znaju batku.

Starosta. Wypij za zdrowie mojego teścia, pana na Zbarażu i Jezierszczyźnie.

Soroka *(wypija).* Zdorow żyw batku!

Starosta *(coraz bardziej pijany).* Zawołaj mi koniuszego Złotareńki, Maxyma i Jurka.

Soroka. Znaju! *(odchodzi).*

Dąbrowski *(n. s.)* Skóra na mnie cierpnie. *(wchodzi Staruścina, za nią Krzysia).*

SCENA IV.

Ciż, Starościna, **Krzysia**, *potem kozacy.*

Starosta. Ot niewiasta moja prekrasna. Kasiu, serce, wyglądasz jak Wenera, jak powiedział ten urwis Gozdski. *(tłukąc kielich).* Kto tu wymówił to nazwisko, hę?

Dąbrowski. To wy sami Starosto.

Starosta. Ja? to prawda.

Starościna. Sądzę, że obecność moja teraz tu nie w miejscu. Przyjdę jak się wytrzeźwić raczycie.

Starosta *(chwytając ją za rękę).* Fiu! No popatrz panie Dąbrowski, czy ty poznajesz swoją córkę? Czy to ta Kasia co drób karmiła na folwarku? To całą gębą Starościna Kaniowska.

Starościna. Tak, i jako Starościna chybiać sobie nie pozwolę nawet wam.

Starosta. Kasiu serce, jam twój niewolnik *(klęka*

przed nią). Patrz, nikt jeszcze na kolanach nie widział Starosty Mikołaja. Rządź, rozkazuj! (*do Krzysi*). A ty, marsz do garderoby!

Starościna. Zostań. Raczcie się podnieść, panie Starosto. Poprowadziemy dyskurs, jak przystoi ludziom naszego położenia.

Dąbrowski (*do córki*). Co ty robisz nieszczęsna?

Starosta. Pokorny wasz sługa pani moja. A wolnoż tę śliczną rączkę ucałować.

Starościna (*cofając rękę*). Jeszczeście na to nie zasłużyli.

Starosta. Hej! może ty mnie do karceresu zamkniesz?

Starościna. Zdaje się, że miałabym słuszne prawo, oddać wam wet za wet. Ale nie naszą bronią taka zemsta. Lecz dopóki was skruszonym i żałującym nie znajdę, nie wrócę wam łaski mojej.

Starosta (*coraz bardziej pijany do Dąbrowskiego*). A co tam w katechizmie stoi, hę? Niepamiętam (*do żony*). Rozkazuj Kasiu, jam sługa pokorny.

Starościna: Od dziś pragnę prowadzić życie wolne i swobodne: Być panią moich czynności i nikomu nie zdawać z nich rachunku:

Starosta. Słyszysz Dąbrowski? to mnie chyba szlafmycę włożyć na głowę i wleźć pod pierzynę (*z udaną pokorą*). Ale szczo roboty! Pani każe, służyć trzeba... paragraf piąty.

Starościna. Na pierwszy początek nie chcę ciągle gnuśnieć w tych murach, chcę mieć zaprzężoną kolebkę do dyspozycyi mojej i wyjechać do miasteczka, gdy mi się podoba.

Starosta. Soroka! (*wchodzi Soroka, za nim koniuszy Złotareńko i Maxym*).

Starosta. Konie do karety dla pani.

Soroka. Znaju, (*odchodzi*).

Starościna. Chcę, żeby wszystkie rozkazy moje były tak święcie szanowane jak wasze, panie Starosto.

Starosta. Słyszycie chamy! To pani wasza! Kak ona prikaże, tak robyty.

Koniuszy. Choć w ogień wskoczyć dla was.

Starosta. Widzisz Kasiu! to wierna moja służba krwi swojej nie pożałuje dla ciebie. Spełnij ten puchar za ich zdrowie a uszczęśliwisz ich.

Starościna (*biorąc kielich*). Chętnie! (*w chwili, kiedy przytyka do ust, Starosta strzela z pistoletu i wytrąca go jej z ręki*).

Dąbrowski. Jezus Marya!

Starościna. Ratuj! Ratujcie! (*pada na fotel*).

Starosta. Ha! ha! ha! ha! Widzisz Kasiu jaki to ze mnie strzelec, choć taki pokorny ciura. W ziarnko maku wsadzam kulę o dwadzieścia kroków po pijanemu. Stawaj Kasiu! niech te koreczki od bucików poodcinam.

Dąbrowski. Panie Starosto!

Starościna. Pójdź Krzysiu, uciekajmy z tego pie kła (*wybiegają*).

SCENA V.

Starosta, Dąbrowski, Kozacy.

Starosta. Panie teściu stawaj! Pas ci kulą rozwiążę.

Dąbrowski. Przez miłosierdzie boże, upamiętajcie się, panie Starosto.

Starosta (*po chwili walki z sobą*). Hej! Beryt mene pid wartu! (*kozacy go rozbrajają, zabierają pistolety i odpasują szablę*).

Starosta. Gdzież Kasia? Wołajcie jej. Pani Starościny wołaj chamie. Przestraszyłem gołąbkę. Cicho stary, ani słowa. Klękaj i mów różaniec razem ze mną. Zwołajcie ojca Hieronima, niech dyscypliną wygrzmoci plecy. Panie Dąbrowski, obaj zgrzeszyliśmy ciężko, ty żeś mi dał twoją córkę, ja żem ją wziął. Niech tu dyscypliny przyniosą. Będziemy się biczować, aż do krwi, a jutro post, post solenny. (*zasypia w krześle*).

Dąbrowski. Przenieście go do łóżka.

Koniuszy. Niewolno. Tam, gdzie zasnął, tam spać będzie, póki się nie przebudzi.

Dąbrowski. Bogdajże tak spał długo.

Soroka (*wpada*), Zdrada.

Koniuszy. Małczy, pan śpi!

Soroka. Nada rozbudyt! Prekliaty lach porwał Starościnę w miasteczku. Jego ludzie przebrani za smolarzy czekali z końmi przed karczmą, skoro wyjechała, pochwycili. Ten Węgier olejkarz, to był jego sługa. Umówili się, w pogoń za niemi!

Koniuszy. W pogoń? Pana budzić nie można, bo by nas porąbał. Odbijem, zanim się pan rozbudzi. (*wybiegają*).

Dąbrowski. Niechże ją weźmie i nie powraca więcej. Wolę ją widzieć zhańbioną, niżeli tu w tem piekle, (*pada na kolana*). Boże mi przebacz, żem dziecko moje dał w te dyabelskie szpony.

(*Kurtyna zapada*).

AKT V.

Ta sama dekoracya co w akcie pierwszym.

SCENA I.

Paweł, Ewa, Malcher. Ławnik.

Paweł (*siedzi przy stole z lewej, przed nim próżny kufel*). Nieszczęśliwy ja człowiek! furjat! głupiec! Chciałem się wziąść za łby z panem i straciłem fortunę. Zgubiłem żonę, dzieci, a duszę utopiłem w kuflu. Cóż m dziś pozostaje? Ot, powieszę się przy drodze. Niech ludzie patrzą jak komornik Słupski dynda.

Ławnik. Kiedy nawet na kupienie postronka niemasz waszeć.

Paweł. Łyku! na sznurku od karabeli się powieszę.

Ławnik. Ha, szczęśliwa droga!

Paweł. Pani Malchrowa, jeszcze kufel!

Malcher. Już wam na borg nie dam.

Paweł. Nie dasz na borg szlachcicowi, co połowę fortuny u ciebie zostawił? Oh, ty kamienna duszo.

Ewa. Ja dam waszmości.

Paweł. Bóg ci zapłać Ewuniu. Ja zawsze powiadam, że Aśćka na szlachciankę mi patrzysz, i żeby była sprawiedliwość na świecie, powinnabyś była pójść za senatora, a nie za tego karafarza.

Ewa. Słyszysz?

Malcher. A no słyszę, że lada jaki język w głowie asani przewraca. Jam taki dobry jak i senator, kiedy mam trzos naładowany.

Paweł. A nie umiesz Waść uszanować niewiasty, a kto nie umie uszanować niewiasty, ten jest gbur, homo rusticus agrestis, rudus, homo incultus.

Malcher. Co mi tam aść będziesz od inkultusów wymyślał.

Paweł. Szanuj aść niewiastę, bo nie wiesz dnia ani godziny, kiedy ci fugas chrustas urządzi, jak pani Starościna Kaniowska.

Ewa. Słyszysz?

Malcher. Przestań paplać, a weź się do roboty.

Ewa. Do roboty?

Paweł. Do roboty? Pani Ewo ciebie do roboty wygania ten człowiek, który nie wart końca patyńka twego?

Ewa. Bo i prawda. Cóż to ty myślisz stary grzybie, że tak całe życie przy tobie przemęczę? Że ciągle będziesz mnie wyganiał za szynkwas? Albo ja to taka głupia? I mnie się coś od świata należy. Dla twojej łysiny i paru zębów, któremi już nic ugryźć nie możesz, jam nie poszła za ciebie.

Paweł. Dobrze pani Malchrowo.

Ewa. Proszę asindzieja! Zazdrośny bestya, jak tygrys, a na nic mu się to nie przyda, bo on już nie do tańca, ale do różańca.

Paweł. To tak, panie Malcher?

Malcher. Jewka, masz ty sumienie?

Ewa. Pewnie, że mam. Chcesz bym moje młode lata i krasę utopiła za szynkwasem, a ty żebyś szkatułę ładował. Niedoczekanie twoje. Ty pójdziesz za szynkwas a ja tu będę panią, albo pójdę sobie, gdzie pieprz rośnie.

Malcher. I tyś moja żona? I tyś mi przysięgała wierność i posłuszeństwo przed ołtarzem?

Ewa. A tyś mi nie przysięgał, że mnie miłować będziesz? a cóż to za miłowanie? Wziąłeś mnie bym ci pomocą była w procederze, bym moją nieszpetną gębą ludzi

przynęcała do gospody... i przynęcałam, stary zbereżniku. Nikt tu dla Malchra nie przyjdzie na kieliszek, ale dla Malchrowej.

Paweł. Święta prawda.

Ewa. A widzisz !?

Ławnik. Podobnoć samemu przyjdzie pójść za szynkwas, panie Malcher.

Ewa. Ni ja dnia ni nocy. We dnie się napracuję, a w nocy ziółka mu gotować muszę, bo stęka nieraz do białego dnia.

Paweł. Ważny argument do rozwodu.

Ewa. Widzisz?

Malcher. Nie buntowalibyście mi kobiety, panie komorniku.

Ewa. Ja i bez Jegomości wiem o tem. Kto na starość bierze młodą, ten niech będzie pewny, że go czeka taki sam los jak pana Starostę Kaniowskiego. Przyjdzie młody i weźmie jak swoją.

Paweł. I jeszcze skórę dobrze wytrzepie.

Malcher. Jewka, niedoczekanie twoje!

Ewa. I cóż mi zrobisz? Będziesz gonił wiatr w polu. Armatami mnie odbijać nie będziesz, jak pan Starosta. Hej, niech się tu tylko zjawi ten, co mi zajechał w serce!

Paweł. Wiem, wiem, znam tego kawalera. Rozgorzał do Jejmości jak wulkan.

Ławnik Pono i ja wiem coś o tem.

Malcher. Kobieto, nie przyprowadzaj mnie do obrazy boskiej !

Ewa. Tak, zżymaj się stary śledzienniku, bo ty nic więcej nie potrafisz. Niech ktokolwiek popatrzy na moją krasę przy twarzy pomarszczonej bierze mnie za twoją wnuczkę.

Paweł. Bo i prawda, wyglądacie przy niej, jak Matuzalus.

Ławnik. Wypędź tego gębacza, bo cię żywcem pochowa.

Malcher. Bogdaj go dyabli wzięli (*słychać trzask z bicza, za oknem i zajeżdżające powozy*).

Ewa. Ot, goście jadą. Dalej za szynkwas stary, teraz na mnie kolej być panią.

Malcher. Niedoczekanie twoje.

Ewa. Za szynkwas! bo inaczej zamknę się w alkierzu i nosa nie wyściubię.

Malcher. Czyś się wściekła?

Ewa. Taka kolej na świecie.

Paweł. Nec ego escipiar.

Ławnik. Niema co panie Malcher.

Malcher. Prędzej dam się posiekać.

Ewa. Będziesz mi ty zrzędził i na śmiech się ludzki wystawiał. Dalej, pókim dobra.

Paweł. Viwat pani Malchrowa *(do Malchra)*. Masz za swoje stary capie. Na drugi raz nie zadzieraj z palestrantem (*Ewa wypycha go gwałtem, drzwi się otwierają i wchodzą Starosta w ubraniu kozackiem i czterech kozaków z pistoletami w ręku. Każdy z kozaków chwyta za gardło jednę z osób będących na scenie. Starosta i Soroka stają na środku izby).*

Kozak. Małczat, kak smert, bo w łeb strielu.

Malcher. Matko Boska, zbójcy!

Paweł. Poganinie, ty do szlachcica z pistoletem? Odczep się, jestem goły.

Ławnik. Ratuj, kto w Boga wierzy.

Kozak. Małczat!

Ewa. Cicho stary! nie widzisz pana Starosty choć w przebraniu.

Starosta. Cicho! Słuchajcie co powiem. Jak mi który słowo piśnie, żem ja tu, powiesić każę na tej belce (*do Soroki*). Daleko są?

Soroka. Minęli tatarskie kopce.

Starosta. Dobrze. Śledziłeś pilnie?

Soroka. Jak mojej hołowy batku. Nikt mnie nie poznał, manowcami za niemi goniłem. Starościna, to święta kobieta, jam zawsze mówił, ale ta Sroka z Warszawy, to, ot utopić tylko:

Starosta. A na noclegach? na popasach?

Soroka. Wsio po bożemu batku. Ja pilnował i patrzał.

Starosta. Dosyć! Schować się. Powiedz Złotareńce, niech karczmę obsaczy tak, żeby mysz nie uciekła. (*do Ewy*). Czy ja mogę wejść do tej izby?

Ewa. Do usług J. W. pana.

Starosta. Jeszcze raz mówię; milczeć! bo się ze świętą Trójcą zobaczycie. Niema mnie tu, rozumiecie? (*odchodzi szybko do alkierza, z prawej kozacy się rozbiegają*).

Malcher. Matko wielkiego miłosierdzia! to już i po nas. Jużem był zapomniał o wszystkiem, myślałem, że sobie inną karczmę wybrali na harce, a oni znów do mnie, jak w dym. A bogdaj was wilcy zagryźli! Bogdaj wam wątrobę rak stoczył. Bogdaj was pomór. Ha, poganiny!

Ewa. Będziesz ty cicho? Tam pan Starosta słyszy.

Paweł. Zawiązać mu gębę, bo on nieszczęście ściągnie na nas.

Malcher. (*ciszej z płaczem*). Czy może być większe jak to, co już jest. Oh, bogdaj wam wnętrzności się rozpadły. Że też człek ani dnia, ani godziny. Ten powiesi, tamten zabije. Tylko tu patrzeć jak drugi zbój nadciągnie. (*słychać turkot powozu*). Ot, go macie. Ziemio rozstąp się pod nami. (*wchodzą Marcin, który otwiera drzwi na oścież*).

SCENA II.

Ciż, Gozdski, Starościna, Krzysia, Marcin, Służba.

Starościna. Gdzież my to jesteśmy?

Gozdski. W tej samej pamiętnej karczmie, w której miałem to szczęście pierwszy raz was oglądać.

Paweł. W imię ojca i syna. }
Malcher. Jezus Nazareński i ona. } razem
Ewa. Pani Starościna! }

Gozdski. Oh! to starzy nasi znajomi, pan Paweł, waść zdaje się przy tym samym kuflu jeszcze siedzi.

Paweł. Uniżony podnóżek J. W. pana, dużo to już od tego czasu wody upłynęło.

Gozdski. Chyba miodu *(do Malchrowej)*. Jak się macie dobrzy ludzie. Pani gospodyni, niech nam na wygodzie nie zbywa.

Ewa. Najniższa sługa J. W. pana; wszystko będzie w mig. *(do Malchra)*. Ruszaj do piwnicy.

Marcin. Oho, pani Ewa jak widzę na kieł wzięła.

Ewa. Albo to nie czas. Wszak mi się to należy.

Marcin. Słusznie, kiedyś grzyb, leź w kosz.

Ławnik *(do Malchra)*. To pono ten, co ci rogi przyprawi.

Malcher. Lepiej idźcie do dyabła!

Gozdski. Dajcie wszystko co macie najlepszego. Pamiętać o ludziach i koniach naszych. Rozkazuj pani Starościno! Nim dalej wyruszemy, raczcie spocząć i pokrzepić się.

Starościna. Wola wasza, panie Rotmistrzu, choć nie czuję zmęczenia i mogłabym w dalszą puścić się drogę. Wszakże Lwów niedaleko?

Gozdski. Nie całe cztery mile, ale radbym zajechać tam jaknajpóźniej, aby dłużej się cieszyć widokiem waszym.

Starościna. Wszakże z po za furty klasztornej widywać się możemy?

Gozdski. Smutny to widok Starościno, patrzeć na skarb, który żelazna krata zamyka.

Starościna. Zgodźmyż się z przeznaczeniem.

Gozdski. Oh, to przeznaczenie gorzką wyprawia z nami igraszkę. Miałżebym dla tego was zobaczyć po raz pierwszy w życiu tu właśnie, abym po tylu przeciwnościach utracił, i aby to miejsce było ostatnią stacyą naszej podróży?

Starościna. Tak być musi, panie Rotmistrzu.

Gozdski. Było mi wybrać drogę na Wiedeń albo na Stambuł.

Krzysia. Eh, człowiek strzela, pan Bóg kule nosi. Coś mi się nie zdaje, abyśmy dojechali do tego Lwowa.

Starościna. Dlaczegóż to Mościa panno?

Krzysia. Albo ja wiem.

Starościna. Tym razem zawiodą cię twoje przeczucia

Krzysia. Daj Boże! Śnił mi się dziś ten straszny Soroka. Gonił mnie po jakichś górach i wąwozach z swoim utrapionym pierścionkiem: Taki sen nie dobrze wróży.

Starościna. Przestań paplać moja kochana.

Gozdski. Krzysia przeczuwa, że jeszcze jedną walkę stoczyć potrzeba. Będzie ona zapewne ostatnią. Cokolwiek się jednak stanie, raczcie mi zaufać Starościno.

Starościna. Nic straszniejszego mnie spotkaćby nie mogło, jak gdybym znów miała wrócić pod dach tego okrutnika, dla tego jestem przygotowaną umrzeć raczej. każdej chwili, aniżeli przestąpić próg jego domu.

Gozdski Do tego nie przyjdzie, dopóki ja żyję!

Starościna. Oh, Boże! Możecież wiedzieć jakie zasadzki, jakie plany przędzie na waszą zgubę? Dla tego radabym jak najprędzej zamknąć się w murach klasztoru, a was drogi panie Rotmistrzu widzieć jak najdalej od jego szpon zdradzieckich. Przyrzeknijcie mi panie, że wyjedziecie natychmiast do Warszawy, inaczej za nic w świecie nie zgodzę się, abym ja kosztem waszego zdrowia, a może życia zapewniła sobie ukrycie. Wszakże już raz ta ręka szlachetna poniosła dla mnie rany.

Gozdski. I jeszcze je poniesie z roskoszą.

Starościna. Oh, nie mówcie tego, jabym umarła.

Gozdski. A jednak nie chcecie mnie widzieć szczęśliwym.

Starościna. Czyż to szczęście w naszej jest mocy?

Gozdski. W twojej.

Starościna. Pragniesz szczęścia okupionego moją hańbą? Nie, takiego szczęścia dać ci nie mogę. Zostawcie resztę woli bożej, drogi panie Józefie. Kocham was jak tylko w ludzkiej mocy kochać można. Gdyby nie wy, cóżby się ze mną stało? Zatraciłabym w sobie to wszystko, co

godność niewiasty podnosi, a stała się niewolnicą grubych chuci tyrana. Przez was to, przez was poznałam czem kobieta być może.

Gozdski. A ja, przez was począłem inne życie. Uganiałem się za zdobyczami, których się dzisiaj wstydzę. Gdym was poznał, poznałem treść życia. Dla tego choćby szatanowi wyrwać was przyszło, wyrwę! Nie mówcie mi o prawach światowych. Stworzono je dla złych i przewrotnych. My naszem bezprawiem zrobiemy więcej dobrego na świecie, niżeli 99-ciu uświęconych prawami związków.

Starościna. Oh, nie mówcie tak. Nie można bezkarnie rozrywać tego, co uświęciły wieki. (*Gozdski całuje jej rękę, rozmowa dalej prowadzi się między niemi. Marcin, Malcher, Ewa, Paweł przez ten czas byli zajęci rozmową*).

Marcin (*kończąc opowiadanie*). O tej finfie jakąśmy wyrządzili staroście, będą wieki pamiętać. Teraz dalej do roboty. Wszystko znieść co macie najlepszego w piwnicy i śpiżarni. Całe zapasy dziś spieniężysz.

Ewa. Zwijaj się stary!

Malcher. A ty tu ząbki szczerzyć będziesz?

Ewa. Tak, ja będę bawić gości. Dalej! wydostać miód i wino te z framugi, bo to goście nie lada. Z lamusa znieść pół gąski, szynki, kiełbasy. Gdzież nakryć do stołu, panie Marcinie?

Marcin. Tu stokrotko. Tęskniłaś też czasem zamną?

Ewa. I jak?

Malcher. Pójdźże mi pomóż.

Ewa. Dasz sobie sam radę, ja tu pozostać muszę. A ruszajże!

Malcher (*n. s*). Bodajeście karki połamali. Nie pójdę, bo mnie jeszcze oćwiczą (*głośno*). A tamten na belce zawiesi. Jewka, miej sumienie, (*odchodzi*).

Marcin. Co on ci tu o sumieniu prawi, Ewusiu?

Ewa (*nakrywając stół*). Ano, boi się pana Marcina. Przecieżem jego żoną.

Marcin. A pocóż się z tobą żenił stary truteń? Tyś moją Jewusiu.

Ewa. Eh, nie żartowałby pan Marcin, jakże ja to pańską być mogę?

Marcin. Bo mnie kochasz.

Ewa. I cóż nam z tego kochania?

Marcin. To, co może być najlepszego w świecie.

Ewa. Ja tam żadna wielka pani, kochać nie potrafię na wiarę. Wstyd i obraza boska.

Marcin. Inaczej wprzód mówiłaś!

Ewa. Ano bo i pan Marcin inaczej gadał.

Marcin. Patrz na nich, jacy szczęśliwi:

Ewa. Gdzie ta szczęśliwość. Ona płacze, a on zdesperowany. Nie tak to łatwo stare więzy potargać.

Krzysia. Gruchają, gołąbki. Tu jedna para a tam druga: Szambelanowa by powiedziała, że Kupido tu swój warsztat założył. Mamże się im przypatrywać z założonemi rękami. (*patrząc na Malchra, który wchodzi z prowiantem i stawia na stole nakrytym na środku sceny*). Trzeba się wziąść do tego starego Cerbera. Na bezrybiu i rak ryba.

Malcher. Ta sekutnica w amorach cała. Nieszczęśliwy ja człowiek, pocóżem się żenił? Ona mnie teraz na parobka swego przerobi.

Krzysia. Mogę wam pomódz, panie gospodarzu.

Malcher. Albo to nie mam mojej żony?

Krzysia. Zajęta ważną rozmową z panem Marcinem, nie trzeba im przeszkadzać:

Malcher. Właśnie, że trzeba.

Krzysia. Dajcież pokój. Zazdrość to brzydka wada w tak dojrzałym mężu, jak W. pan, trzeba przez szpary patrzeć.

Malcher. Przez szpary? Aspanna jesteś farmazonka, u nas się skórę garbuje i kwita.

Krzysia. A fe!

Malcher. To nie fe, ale prawda. Żeby był tak robił i pan Starosta, nie byłoby go to nieszczęście spotkało. Aż brzydko patrzeć, żeby taka pani uciekała z gachem. Ot, przykład idzie z góry, i moja sroka brykać zaczyna, ale niechno ja się wezmę do niej.

Krzysia. To stracicie resztki tych włosów, a ona zrobi swoje. Dajcie jej pokój, a obejrzyjcie się za inną. Przecież nie brak niewiast na świecie.

Malcher. Co mi aspanna baje.

Krzysia. Szczerą prawdę. Pokaż, że o nią nie stoisz, a zobaczysz jak cię kochać i słuchać będzie... Ot, na początek pozalecaj się domnie. Przeciem warta twojej Jewki.

Malcher. Ale bah!

Krzysia. Nie ładniejsze mam od niej oczy?

Malcher. To prawda.

Krzysia. A widzieliście taką kibić?

Malcher. Rękami zda się bym objął.

Krzysia. A rączka także nie do odrzucenia.

Malcher. Jak atłasowa.

Krzysia. Możecie pocałować.

Malcher (*całuje z apetytem*). Czysto sajeta, jak Bóg miły!

Krzysia. No, lżej wam teraz?

Malcher. Niby mi raźniej, ale kiedy wy tylko pokpiwacie ze starego.

Krzysia. Co mam pokpiwać. Głupie tylko kobiety gonią za młokosami, rozsądne smakują w stateczności i w powadze.

Malcher. Złota pannusieńko, a jakże wam na imię?

Krzysia. Krystyna do usług.

Malcher. Piękne imię jak, i cała osóbka W. panny, a długo tu z nami zostaniecie?

Gozdski (*zrywając się*). Jak każecie panie Marcinie, jedziemy!

Marcin. Jakto zaraz?

Gozdski. Natychmiast!

Marcin (*n. s.*) Cóż u djaska, pokłócili się, czy co?

Ewa. J. W. państwo nie raczą zasiąść do stołu?

Gozdski. Nie, moja gosposiu (*rzuca jej kiesę*). Masz za twe trudy.

Marcin. Szczególna miłość o głodzie. No, pani Malchrowa Bóg wie, kiedy się zobaczymy.

Ewa. Szczęśliwa droga Jegomości.

Marcin. Zaprzęgać (*patrząc za drzwi*). A tam co? Mamy gości (*wchodzą kozacy i jednocześnie Starosta z prawej*).

SCENA III.

Ciż i Starosta.

Wszyscy. Pan Starosta!

Gozdski (*biorąc się do szabli*). On!

Marcin. Pocośmy tu tak długo marudzili.

Starosta. Pochwalony! Uniżony sługa asiństwa. Myślałem, że aż we Lwowie was przydybię (*do Gozdskiego*). Schowaj szablę dobrodzieju, będzie jeszcze czas na to (*do obecnych*). Odejdźcie wszyscy (*wszyscy wychodzą prócz Gozdskiego*). Panie Gozdski racz łaskawie wejść do drugiej izby, chcę parę słów powiedzieć mojej żonie.

Gozdski. Na krok nie odstąpię tej pani. Przysiągłem być jej obrońcą i prędzej mi życie wydrzesz, aniżeli ją ukrzywdzisz.

Starosta. Powiedz że Jejmość owemu kawalerowi, że cię nie zjem, a pomówić z Aspanią muszę, tociem jeszcze twym mężem. Co tam dalej z nami nastąpi, to Bogu jednemu wiadomo.

Starościna. Raczże odejść panie Rotmistrzu, błagam was o to.

Gozdski. Jestem posłuszny; ale pamiętaj Starosto, że na najlżejszy jej okrzyk jestem przy niej i pomimo bandy twych kozaków, których widzę za oknem, rachuj się z życiem.

Starosta. Dobrze, dobrze będziemy się rachowali. Niewiadomo czyje będzie na wierzchu (*Gozdski odchodzi.*)

SCENA IV.

Starosta, Starościna.

Starosta (*patrząc jej długo w oczy*). Wypiękniałaś mi Kasiu na utrapienie moje. I kędyś asani wzięła tyle krasy i wdzięku. Dwa lata patrzyłem na ciebie, a nie widziałem.

Starościna. Byłam taką zawsze.

Starosta. Nie, to nieprawda. Siądź Kasiu i nie drżyj.

Starościna. Słucham was!

Starosta. I dobrze robisz, bo ciekawe rzeczy mam ci do powiedzenia. Wziąłem cię młodą i niewinną z rąk rodziców w nadziei, że będziesz mi dobrą żoną i matką moich dzieci. Że moje złe narowy i wybuchy humoru będziesz umiała hamować tkliwością niewieściego serca, pobłażaniem, poświęceniem i cierpliwością. Tych wszystkich cnót nie miałaś Kasiu w sobie.

Starościna. Darujcie.

Starosta. Nie robię ci wyrzutów. Wymagałem od ciebie za wiele. Byłaś za młodą dla mnie, za nadto lekkomyślną, i na twoje szczęście a moje nieszczęście poznałaś człowieka, który ci zawrócił głowę.

Starościna. W tem wasza wina.

Starosta. Moja, wiem o tem. Ale zanim się o tem dowiedziałem, musiało się to stać, co się stało obecnie. Dziś już wiem, jakbym cię prowadzić potrafił i nie pomyliłbym się z pewnością, ale dziś już niestety zapóźno. Propało szczo z wozu spało. Nie zniósłbym nigdy, aby inny obraz prócz mego w sercu się twoim mieścił, bo żaden Potocki rogów jeszcze nie nosił. Żeś pokochała tego zucha wcale ci się nie dziwię, bo nie wiem czyby się znalazła kobieta, któraby się potrafiła mu oprzeć. Żeś walczyła długo z obowiązkiem i to wiem. Żeś nieuległa krewkości i honor mój ustrzegła zmazy, o tem nie wątpiłem nigdy i rozpytałem się dobrze po drodze. A teraz co Aśćka robić zamyślasz?

Starościna (*zdumiona*). Panie Starosto, pierwszy raz z ust waszych taką mowę słyszę. Oh, czemuż dawniej nie odzywaliście się do mnie tym tonem?

Starosta. Byłem głupi, moja pani.

Starościna. A jam była słabą i ułomną przyznaję, niepotrafiłam dopatrzeć pod waszą szorstką powłoką człowieka. Nieumiałam stawić czoła kaprysom waszym jak i dziś bym nie umiała, bo oto na wspomnienie waszego ostatniego czynu drętwieję cała ze zgrozy.

Starosta. Prawda, odpokutuję też gorzko za niego. Teraz mi aśćka powiedz co dalej z sobą zamyślasz?

Starościna. Zamknę się w klasztorze, bo imienia waszego niesławą nie okryję.

Starosta. Dobrze, dziękuję ci. A teraz błagam cię na kolanach daruj mi wszystko złe, jakie ci wyrządziłem (*klęka*).

Starościna. Jużem wam przebaczyła, panie, i wzajem proszę o zapomnienie moich (*płacze*).

Starosta. Nie płacz pani. Co się stało już się nie odstanie, a mam nadzieję, że nie zapomnisz o mnie i pomodlisz się czasem za duszę moją.

Starościna. Dobroć wasza, panie Starosto.

Starosta. Daj mi rękę Kasiu! (*całuje ją*). Jednej prawdy nie nauczono mnie dotychczas. Że wszystko, czy przemocą, czy złotem zdobyć można, tylko afektu niewiasty nie zdobędziesz, bo on afektem się płaci. (*otwiera drzwi do pokoju Gozdskiego*). Proszę tedy uprzejmie asindzieja. (*Gozdski wchodzi*).

SCENA V.

Starosta, Starościna, Gozdski.

Starosta (*patrząc nań*): No i cóż junaku. Mógłbym cię tu posiekać na kwaśne jabłko, a miałbym i słuszność po sobie. Dostałeś się w łapy Starosty Kaniowskiego alas dyabła jak go nazywacie. Na moje jedno świsnięcie

sto szabel zabłyśnie nad twoją głową, zanim Jezus Marya wymówisz, ale nie obawiaj się i głowy i serca bym tu nie miał, a ja mam i jedno i drugie na miejscu, tylko mnie źli ludzie zepsuli. Jednak tak na sucho cię nie puszczę. Dwa razy mi ją porwałeś. Raz odbiłem i postrzeliłem cię w łapę, drugi raz sobie trudu zadawać nie myślę, a potem cóż mi już po niej. Siadaj i pisz warunki, jakie ci podyktuję.

Gozdski. Jakie warunki?

Starosta. Zobaczysz. Pisz, panie Gozdski. Jestem zwycięzcą, twoi ludzie są w więzach, więc z przywileju mego na jotę nie odstąpię.

Gozdski. Tyś zwyciężcą? Zwaryowałeś, panie Potocki? dopóki szablę mam przy boku, zwycięzcą się nazwać nie możesz. I choćby dziesięć razy tyle twego kozactwa tę karczmę obskoczyło, to zanim byś mnie zwyciężył, połowy byś się ich nie doliczył. Ustąp. Niechciej przelewać marnie krwi twoich ludzi. Przysiągłem ją oswobodzić i oswobodzę od ciebie.

Starosta. Ot czort zacięty — on nikogo nie posłucha. Więc znów zmuszony jestem wnieść instancyę do jejmości.

Starościna. Bądź posłuszny rozkazowi mojego męża panie Rotmistrzu.

Starosta. *(całując ją w rękę).* Dziękuję asindźce.

Gozdski. Waszego męża! Czyż ten godzien się waszym mężem nazywać.

Starościna. Jest nim dotąd w obec Boga i ludzi i tak, jak jam mu dotąd winna posłuszeństwo, tak i wy przez miłość dla mnie posłuszni bądźcie.

Gozdski. Jemu — nigdy! Widzę teraz, że się stałem igraszką waszą pani Starościno. Darujcie—nie znałem dotąd kobiet—ale nie roszczę do was pretensyi i zostawiam z waszym amfitrionem.

Starosta. I toż jest ten, któregoś aśćka nademnie przeniosła.

Starościna. Omyliłam się. Darujcie, panie Rotmistrzu, już żadnej nie chcę od was ofiary.

Gozdski. Żądajcie odemnie wszystkiego, ale nie poddania się rozkazom jego.

Starościna. Wszystko czegokolwiek bym od was żądać mogła w życiu mojem, streszcza się w tych dwóch słowach: „Siadaj i pisz“.

Gozdski (*po chwili walki, biorąc pióro*). Ha! słucham.

Starosta (*dyktując*) Obowiązuje się słowem szlacheckiem poślubić Katarzynę z Dąbrowskich Potocką Starościnę Kaniowską i zapisuje,—(*do Gozdskiego który przestał pisać*) Czemu Waść nie piszesz?

Gozdski. Co to jest... sen?

Starosta. Nie chcesz pisać? Pisz aść, albo ci kulą łeb przewiercę! i dotrzymam, przysięgam ci na klejnot szlachecki—pisz, pókim dobry. Gdzie stanąłeś?.. (*patrząc mu przez ramię*) Starościnę Kaniawską, i zapisuje jej na moich dobrach Jaryczew sumę złotych polskich czterykroć sto tysięcy dożywociem! (*mówi*) Podpis i pieczęć herbowa.

Starościna. Oh, Panie.

Starosta. Terażeś mnie aśćka pokochała choć trochę.

Starościna. Błogosławić cię będę panie do zgonu.

Starosta. A waść mnie gorzej znienawidził?

Gozdski. Oto oblig, a wraz z nim moja ręka.

Starosta (*biorąc rewers*) I moja. Aha zmusiłem cię jednak do kapitulacyi. Zabrałeś mi ją i chciałbyś jeszcze, żeby twoje było na wierzchu? Niedoczekanie.

Godzski. Starosto... rozmiękczyłeś mnie jak wosk do stu piorunów.

Starosta. Innemu bym jej nie dał, chyba z życiem. Tobie daje, boś mnie za serce chwycił—boś pierwszym człowiekiem, który się mnie nie uląkł i prawdę w oczy wypowiedział. Gdybym był takich więcej spotkał. Niech nasza przyjaźń trwałym się skojarzy węzłem. Oto moja szabla

Gozdski. I moja! (*zamieniają szable*).

Starosta. Bądź mi przyjacielem.

Gozdski. I ty moim.

Starosta. Do zgonu!

Gozdski. Do zgonu. (*ściskają się*).

Starosta. (*otwierając drzwi na oścież*) Hej panie Dąbrowski i kto żyje niech spieszy! (*wchodzą wszyscy: Dąbrowski, Soroka*).

Starosta. (*do Dąbrowskiego*) Błogosław aść nowy związek. Jutro piszę o rozwód, a za miesiąc pani Starościna zostanie Rotmistrzową.

Dąbrowski. Bóg wam błogosław i niech tą razą szczęśliwie.

Starosta. Teraz co kto ma do Starosty Kaniowskiego niech mówi. Pojutrze zamykam się w Ławrze poczajowskiej na pokucie i oko ludzkie mnie nie ujrzy. Jeżelim kogo skrzywdził, proszę o przebaczenie. Jeżelim winien co komu, oddam. Kto mnie poprosi o przysługę spełnię ją bez wahania.

Paweł. Ja to jestem panie Starosto.

Starosta. Ktoś taki.

Paweł. Ten, co przez smołę przeszedł.

Starosta. Takeś się wymył ładnie żem cię nie poznał. Każę ci zapłacić co do grosza. Któż więcej? Soroka nic mi nie masz do powiedzenia? Wszak goniłeś za nią i wzdychałeś.

Soroka. Teper nie batku. Wy nieszczastliwy, a ja by miał być szczastliw. Niechce zostanę, jak wy, bez żonki.

Krzysia. Ha zdrajczy synu.

Starosta. Nikogo więcej?

Ewa. (*do męża*) Pójdź stary—z nami, zgoda! Jaśnie W-ny Starosto. Byliśmy tak szczęśliwi że w naszej gospodzie spełniały się takie wielkie rzeczy.

Starosta. Niech ta gospoda ma za godło nie kogutka, jak dotąd, ale serce przesyte strzałą i dwie włóki ornego grnntu.

Wszyscy. Wiwat! pan Starosta Kaniowski! (*hałas wielki za sceną*).

Starosta. Co tam za wrzask? Czy napad tatarów?

Marcin. Pan Wojewoda z żoną przyjechał.

Gozdski. Ojciec! a to niespodzianka. (*wnoszą Wojewodę—za nim wchodzi Wojewodzina i służba*).

SCENA OSTATNIA.

Ciż, Wojewoda — Wojewodzina.

Wojewoda. Nie tak prędko hultaje, bo mnie roztrzęsiecie, jak galaretę. Jesteś tu synu wyrodny. Tak to spełniasz moje rozkazy? Zakazałem ci pod błogosławieństwem nie siać więcej zgorszenia między ludźmi, a tyś znów z swemi hajdukami porwał żonę temu utrapionemu staroście.

Gozdski. Tak ojcze, bo miłość moja silniejszą była.

Wojewoda. Miłość grzeszna, hultaju. Za nic ważysz przeklęństwo moje i wydziedziczenie—i to utrapienie moje? Wszak my tu z Teklunią ośm mil opętanych gonim za tobą.

Gozdski. Żeby być obecnym moim zaręczynom. Co za szczęście.

Wojewoda. Zaręczynom?

Starosta. A tak Wojewodo, twój syn zaślubia panią Potocką.

Wojewoda. (*spostrzegając go dopiero*) Starosta tu? odstąpiłeś mu żony? (*do Wojewodziny*) No patrzaj serce. Mówiłem ci, że się na tem skończy. Starosto, mosandzieju choć mi wszystkie szyby potłukłeś—przebacz!

Starosta. Ale i ty przebaczysz mu Wojewodo, kiedym ja przebaczył.

Wojewoda. Czy ja mu przebaczę — oczywiście. Józiu kochany! toś zuch nad wszystkie zuchy. Ja zajmę się sprawą pani Starościny.

Starosta. To zbyteczne bo ja już o tem pomyślałem.

Wojewodzina. I ty się zgadzasz?

Wojewoda. A dlaczegóż nie serce? popatrz jaka to piękna para.

Wojewodzina. Jesteście wszyscy niedołęgi i szlafmyce (*odchodzi w gniewie*).

Wojewoda. Tekluniu serce... zaczekaj... nie alteruj się... (*do pachołków*). Nieścież błazny.

Starosta. Hola! Stójcie błazny. Niepuszczę cię wojewodo dopóki ich nie pobłogosławisz.

Wojewoda. Żona zagniewana... nie mogę.

Starosta. Zapomniałeś z kim masz do czynienia Wojewodo... Kroćset czartów miejże raz swoją wolę.

Wojewoda. Dobrze... masz słuszność Starosto! Przeproszę ją tylko i kwita. Zaraz wracam. Nieścież. (*wynoszą go.*

Starosta. Tfu! I gniewać się nie można... Toć baba straszniejsza...

Gozdski. Niżeli stu Kaniowskich razem.

(*Zasłona spada*).

KONIEC.

NIEKTÓRE DZIEŁA ZNAJDUJĄCE SIĘ

W KSIĘGARNI

GEBETHNERA I WOLFFA.

Bastier J. O organizacyi pomocy publicznej, przełożył K. Forster, Berlin 1864 rs. 1.—

Baudrilliart H. Przewodnik ekonomii politycznej. (Dzieło uwieńczone przez Akad. franc. pierwszą nagrodą prix Montyon). Tłom z franc. J. B. 1867 z rs. 2 zniżona na rs 1.

Blanqui A. Zarysy ekonomii politycznej, przełożył K. Forster, Berlin 1966, rs. 1.

Droz J. Ekonomia polityczna, czyli zasada nauki o bogactwach, ze wstępem M. Chevalier. przełożył K. Forster, Berlin 1863, rs. 1.

Eger A. A. Zasady pozytywizmu. 1877. kop. 60.

Ellis W. Zarysy ekonomii społecznej, podług tłom. franc z zalecenia Tow. Roln. w Król. Pols. przełożył, przypisy dodał i uzupełnił St Budziński 1858. kop. 75.

Elzenberg H Pogadanki popularne o ekonomii politycznej, 1866, kop. 75.

Gąsiorowski S. Historya handlu wszystkich narodów w ogólnych zarysach od najdawniejszych czasów aż do 1860 r. 1865 rs. 2.

Haushofer M. Dr. Wykład statystyki na zasadzie najnowszych badań naukowych, przekład S. S. i L. 1875 r. rs. 1.50.

Laveleye E Socyalizm spółczesny, tłómaczenie dokonane z 2-go wydania francuzkiego, 1884. rs. 2 40.

Mappa Europy na dużym arkuszu. wydanie nowe, poprawione kop. 30.

— Europy podług najlepszych źródeł ułożona przez S. Strojnowskiego. z oznaczeniem dróg żelaznych i morskich, wykonana na kamieniu przez Marcelego Gotz, nowe wyd. dopełn. na 4-ch dużych arkusz., 1883. rs. 3 Naklejona na płótnie i opraw. w formie książkowej rs. 5. Naklejona z wałkami, werniksowana do zawieszania rs. 7 kop. 50

Meziéres L. M. Ekonomia, czyli środek przeciw ubóstwu, przełożył z francuzkiego K. Forster, Berlin 1862, rs 1.50.

Rapet. Przewodnik moralności i ekonomii politycznej dla użytku klas roboczych, ułożony przez K. Forstera, Berlin 1862, rs. 2.

Rajchman Bronisław. Teorya Darwina w stosunku do nauki i życia, Szkic ogólny, 8-ka 1882. kop 50.

— Jędrzej Śniadecki i Darwin, przyczynek do dziejów piśmiennictwa naukowego polskiego, 8-ka 1874, kop. 30.

— Pierwsze praktyczne poznajomienie się ze światem zwierzęcym, według Augusta Lübena opracowane. z tablicami litogr. 8-ka, 1874, kartonowane, kop. 50.

Scherr Jan dr. Historya literatury powszechnej, według 6-go wydania oryginału niemieckiego przełożona, w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona przez Bronisława Zawadzkiego, 8-ka, 2 tomy, 1884, rs 6, w opr. ozdobnej rs. 7.50.

Spencer H. Wstęp do socyologii, przeł. z oryginału H. Goldberg. 1884, rs. 2.40

Supiński J. Pisma. Wydania 3-cie, przejrzane i znacznie pomnożone, 5 tomów 1883 r.—rs. 6, oddzielnie tom po rs. 1.20.

Treść. I. Myśl ogólna wszechświata II i III. Szkoła polska gospodarstwa społecznego. IV. Listy treści społecznej, stowarzyszenia i spółki. — Siedem wieczorów niedzielnych. V. Rozmaitości.

— Siedem wieczorów. Pogadanki o rzeczach pożytecznych, wydanie 5-e, przejrzane i pomnożone, 1883, kop. 15.